

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 5 PAŹDZIERNIKA 1929 ROKU

NR. 40

TREŚĆ NUMERU: O świadomy stosunek do życia — *Zofja Dzieciotomska-Brykalska*. Honor i jego pojmowanie — *Jadwiga Kiernarska*. Poezje: „Jeziora” — *Kazimiera Illakowiczówna*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Z wędrówki — *M. H. Szpyrkówna*. W powrotnej drodze — *Marja Dobrowolska*. Unja gospodyń słowiańskich — *M. Karczerowska*. Z teatrów — *S. P. O*. Kobieta w świecie i w domu. Nasze uczelnie artystyczne (dok.) — *H. Z.* W naszych sadach — *M. M. S.* Masło na zimę — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Dysertacje o modzie jutra — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

O ŚWIADOMY STOSUNEK DO ŻYCIA

Świadomy, rozumny stosunek do życia jest podstawą rozwoju tak jednostki, jak i społeczeństwa. Wojna ostatnia przewartościowała wszelkie wartości życia rodzinnego i zbiorowego, jego psychiczne i etyczne normy, jego system, jego potrzeby duchowe, a nawet materialne.

Wobec tych zmian, jakie życie powojenne przyniosło, zmienić się musiał i stosunek do tego życia. Kto swego stosunku nie zmienił, ten musi szarpać się w chaosie, marnotrawić siły, walczyć... z wiatrakami. Rezultat tego smutny: gorycz i rozżalenie, że nastąpił ogólny „upadek”, niechęć do życia, pesymizm, zatrucie każdej chwili radości sobie i swemu otoczeniu, często samobójstwo. Naród na tem traci, traci i rodzina.

Jakaż na to rada? Wniknąć głębiej w istotę tych zmian, jakie zaszły i zachodzą, i przyjąć wobec nich określone stanowisko. Wchłonąć w siebie epokę, duch czasu, asymilować wewnętrznie wszystko nowe, co dobre, a co złe — temu dopiero przeciwstawić się z całą siłą i uporem. Nie wyszukiwać zaś złego we wszystkim absolutnie, co nowe, dlatego właśnie, że nowe.

Jeżeli naogół w życiu społecznym zauważyć się daje szereg nad wyraz doniosłych zmian, to i życie kobiety jest dziś zasadniczo różne. Dobrze określiła to p. Strzelecka (art w Nr. 25 „Bluszcza”): „kobieta wyszła z domu”. Mówi się tu, oczywiście, nie o tej, co wyszła po zabawę, na dancing, do kawiarni, bo robiły to już i przed wojną; mówi się o tej kobiecie, co wyszła z domu, by wejść w społeczeństwo, bo prze-

ją do tego potrzeba chwili, czy konieczność zarobkowania, bo woła ją obowiązek wzięcia udziału w szerszym życiu, niż rodzina, bo wreszcie i jej należy się jakiś pokarm duchowy, bo ciągle dać nie można, gdy niema skąd czerpać dla siebie.

Kobieta „wyszła z domu”, nie po to, by dom opuścić, a po to, by wzbogacając siebie, wzbogacić wszystko wokół siebie, czy też dla bytu. Jeżeli można dopatrzeć się w tem czegoś złego dla rodziny, czy tego „domu”, to przyczyna tkwi nie w samej rzeczy, a w tem tylko, poco kobieta wyszła i z czem wraca. Skłaniać ją zaś, by nadal była tylko kapłanką domowego ogniska, jak to się po literacku nazywa, byłoby to właśnie niewniknięciem w wołanie chwili. I jeżeli jest tu potrzebne świadome przeciw — czy współdziałanie jednostek, to jedynie w celu skierowania tego prądu, który przybiera czasem formy groźne, na właściwe tory, warunkujące postęp i cywilizację.

Nędza powojenna zmusiła kobietę do zarobkowania, do walki o chleb dla siebie i rodziny. To było początkiem tych zmian, jakie dziś są już treścią życia kobiety współczesnej. Przyczyny inne narastały jedne za drugimi, silne, bo konieczne domagające się realizacji, szlachetne w założeniu, bo wypowiadające walkę niewolnictwu i poniżeniu kobiety.

Kobieta rozszerzyła zakres swych zainteresowań życiowych, stała się czynnym członkiem społeczeństwa. Stosunkowo mało jeszcze wpływa na sprawy publiczne, odczuwa pewną nieśmiałość, by sięgnąć władczą po najwyższe zaszczyty życia publicz-

nego, zadowolnia się kilku—kilkunastoma posłankami, jednym sędzią i t. d. Ale i na to przyjdzie czas, że o tym jedynym sędzi - kobiecie nie będzie się tyle krzyżeć, bo będzie ich więcej...

Jednak, choć ubogą jest liczba kobiet na szczycie kariery publicznej, to przecież istnieje już wpływ kobiety na sprawy tak społeczne, jak polityczne. Wpływ jeszcze niezupełnie skryształizowany, niezupełnie sprecyzowany, niezupełnie zadowolniający aspiracje czołowych jednostek feminizmu, ale wpływ już b e z p o ś r e d n i (co tak ważne dla sprawy i interesów społeczeństwa kobiecego) przez wybory, przez zjazdy, przez konferencje międzypaństwowe, a już nie pośrednio przez mężów, braci, ojców.

Jest to zwycięstwo wielkie, trzeba to skonstatować z zadowoleniem, ale zadowolenie nasze wpływać powinno nie z upojenia, że stało się coś, ach! — tak bardzo doniosłego, ale że jest to pierwsze zwycięstwo wielkie, bo pierwsze, ale małe w swej wartości pozytywnej w porównaniu do tych, co nastąpią, nastąpić muszą. Boć przecież ostatecznym rezultatem walk naszych o prawa ludzkie musi być śmierć feminizmu, zniknięcie z powierzchni życia publicznego sprawy t. zw. kobiecej. Nie będzie się wówczas podkreślać płci jakiejś wielkości światowej, zwykłym tonem mówić się będzie: pani X. — prezydent ...Stanów Zjednoczonych. Dlaczego nie?

Tymczasem wśród kobiet, tej masy uświadomionej, lecz nie stojącej na szczycie ruchu feministycznego, daje się odczuć jakiś posmak dumy z każdego odznaczenia, czy odznaczenia się jednej z nas, coś takiego przykrego — jakbyśmy trochę... sobie nie ufały, jakby nam to imponowało (powinno tylko cieszyć!), jakbyśmy nie wierzyły w sprawie-

dliwość tego, co idzie. Nie przyjmujemy tego naturalnie, jak coś należnego. A jest to, według mnie, objawem złego stosunku naszego do nowych form życia. Żadna z nas nie nosi nowej sukni tak, by zaznaczyć, iż jest ona nową.

Myślę, że przydałoby się już dziś robić mniej hałasu o to, że gdzieś na świecie któraś z nas została mianowana wielkością na tym, czy innym terenie; poprzestać na skonstatowaniu faktu, traktując go naturalnie, jako coś zwykłego, zasłużonego, bo czyż tak nie jest? Nośmy nasze nowe suknie, jakby były staremi, jakby nam one nie imponowały (niestety!), jakby były naszymi oddawna. Nie zaglądamy do każdego lustra, nie przeglądajmy się w szybie każdej wystawy sklepowej, nie zerkajmy na otoczenie, czy bardzo jest zachwycone — więcej powagi, mniej kokieteryj, bo to już naprawdę „nie wypada“ dzisiejszej kobiecie.

„Wypada“ natomiast więcej działać i więcej korzystać z tego, co już zdziałano. Minęły czasy „kurek domowych“, dziś każda z kobiet musi zostać działaczką, choćby nawet w ciasnym zakresie i choćby tylko dlatego, że „...noblesse oblige“ — zdobyte zyskane, czy wywalczone, jak np. prawo wyborcze, zobowiązują kobietę do orjentowania się nie tylko w zakresie życia rodziny, ale społeczeństw, państw i świata. Żadnej z nas nie wolno pozostać bierną w sprawach publicznych, jeśli chcemy być żywym atomem, a nie martwą komórką organizmu społecznego.

Tak, zmieniła się rola kobiety w życiu narodów. Czy będzie ona żywotniejszą i wybitniejszą, niż rola dawnej kobiety rodziny, wyłącznie rodziny — to absolutnie nie zależy od istoty zmian, jakie zaszły, ale od stosunku, jaki do nich przyjmujemy.

Zofia Dzięciolowska-Bruckalska



JADWIGA KIEWNARSKA

HONOR I JEGO POJMOWANIE

„Śród wzniosłych haseł, używanych nadaremno, żadnem się chyba nie szafuje tak hojnie, jak pojęciem honoru. Niema takiego splotu najniedorzeczniejszych sprzeczności, któregooby wytrawni sekundanci nie zdołali skonsolidować i przypieczętować rozciągnięciem, a abstrakcyjnym słowem: *honor*. Niema tak słusznej sprawy, którejby zła wola nie mogła zaszkodzić, wynajdując w niej subtelne, a mityczne niezgod-

ności z zasadami honoru. Rzadko ktoś ośmieli się sprzeczać, bo zwykle przeciętny śmiertelnik — nie korporant i nie wojskowy — miewa o tych zasadach pojęcie dość mgliste, do czego się zresztą, broń Boże! nie przyzna.

A gdy, słuszną ciekawością wiedziony, w wielkiej tajemnicy przewertuje w domu „Kodeks Honorowy“ pana Bożewicza — w nagrodę za cierpliwe

przedzierać się przez zawiłe gąszcze galicyjskiej polszczyzny, znajdzie takie kwiatki, jak to, że „aby fakt obrazy zaistniał, wystarcza, aby wiedziała o nim strona obrażona“. Bogu ducha winny domniemany obrażający może nic o tem nie wiedzieć i, mimo to, być pociągnięty do odpowiedzialności honorowej. I że za nietakt kobiety, istoty nieodpowiedzialnej honorowo, odpowiada mąż, brat, ojciec, narzeczony... wreszcie — mężczyzna, z którym idzie pod rękę. Że do rzędu ludzi, zasługujących na satysfakcję honorową, należą i analfabeci, byle mogli dowieść szlacheckiego pochodzenia.

Zato u Zamoyskiego znajdzie jeszcze ciekawsze zastrzeżenie, iż nie wolno udzielać satysfakcji żydom, ani wychrześciance, ani takim, co z rodzin żydowskich pochodzą. I złapie się człowiek sprawiedliwy za głowę, i zawoła z rozpaczą: — O honorze! Ileż nieszczęść popelnia się w twoim imieniu!

Zarówno wielka ilość odbywających się pojedynków, jak i ich nieprawdopodobnie błahie przyczyny, nasunąć musiały myśl o konieczności stworzenia nowego, udoskonalonego kodeksu honorowego. Nie na wiele się jednak zda kodeks pisany, nad którego nową formą pracują dzisiaj ludzie powołani, nie pomogą nawet obostrzenia karne w sądach koronnych za obrazę czci i udział w pojedynku, o ile nie nastąpi radykalne przewartościowanie dotychczasowych pojęć o honorowości i honorze, w opinii całego społeczeństwa. Fakt, że świat powojenny, mijający słupy graniczne coraz to nowych zdobyczy cywilizacyjnych z fantastyczną szybkością Złotej Strzały majora SAGRANE'A, w sprawach honorowych zachował pojęcia, godne średniowiecza — zaliczyć należy do niewytłumaczalnych paradoksów psychiczno - obyczajowych.

Aby wykazać całą bezgraniczną nedorzecznosc dotychczasowych pojęć o honorze, przytoczę dwa przykłady z powieści autorów tej miary, co Bolesław Prus i Józef Weysenhof. Więć scenę na wyścigach z nieśmiertelnej „Lalki“, kiedy to klacz barona Krzeszowskiego, kupiona przez Wokulskiego w chęci dogodzenia kaprysowi Izabeli („Ach cóżbym dała, gdyby baron nie dostał klaczy i przegrał zakłady!“), zdobyła nagrodę. Wtem ktoś potrącił Wokulskiego. Był to baron Krzeszowski. Błady z gniewu, zbliżył się do powozu i, wyciągając rękę do panny Izabeli, zawołał po francusku:

— „Cieszę się, kuzynko, że twoi wielbiciele triumfują... Przykro mi tylko, że na mój koszt... Witam panie! — dodał, kłaniając się hrabinie i prezesowej. Twarz hrabiny pokryła się chmurą; pan Życki zakłopotany, panna Izabela zbladła. Baron w impertynencki sposób osadził spadające mu binokle i, ciągle patrząc na pannę Izabelę, mówił:

— Tak jest, mam szczególniejsze szczęście do wielbicieli kuzynki...

— Baronie!... — wtrąciła prezesowa.

— Przecież nie mówię nic złego... Mówię tylko, że mam szczęście do...

Stojący za nim Wokulski dotknął jego ramienia.

— Słówek, panie baronie — rzekł.

— Ach, to pan — odparł baron, przypatrując mu się.

Odeszli na bok.

— Pan mnie potrącił, panie baronie.

— Bardzo przepraszam...

— To mi nie wystarcza...

— Czyżby pan żądał satysfakcji? — zapytał baron.

— Właśnie.

— W takim razie, służę — rzekł baron, szukając biletu.

Rozstali się, wymieniając najpiękniejsze ukłony...

Postępowanie honorowe odbyło się, jak zwykle, w najściślejszej tajemnicy, i, jak zwykle, o wszystkim, z najdrobniejszymi szczegółami, wiedziało całe miasto.

Wiedziała i panna Izabela, tak wielce obrażona horendalnym faktem, że ktoś ośmielił się publicznie nazwać kupca galanteryjnego jej wielbicielem. Natomiast to, że ten kupiec naraża dla jej kaprysu swoje i cudze życie, wydawało się jej czemś zupełnie naturalnem. Słyszac, że sekundanci barona kazali mu przeprosić Wokulskiego, panna Izabela zrobiła pogardliwy grymas ustami: — „Szczęśliwy człowiek — myślała; — mnie obrażają, a jego będą przepraszać!“

Takie miała pojęcie o zasadach honorowości ta dobrze wychowana panna.

Podobnie widać myślał i Wokulski, gdyż przeprosin nie przyjął i zażądał przez swoich sekundantów ostrych warunków pojedynku. Strzelając z odległości piętnastu kroków, spokojnie mierzył w głowę człowieka, który mu nic nie zawinił i dzięki przypadkowi jedynie, zamiast zabić przeciwnika, wybił mu tylko ząb. I ani okaleczony baron, ani jego sekundanci nie dostrzegli w tem nieudanem morderstwie nic niemoralnego, nic wstrętnego. Przeciwnie: wszyscy zgodnie orzekli, że „Wokulski — to skończony gentleman“. Jedynie przyjaciel i sekundant Wokulskiego, doktor Szuman, pozwolił sobie mruknąć:

— „A to bydlęta! I że ja na takich błaznów nie sprowadziłem policji!...“

Ale cóż! był to znany dziwak i żyd na dokładkę, a żydzi, jak wiadomo, należą (podług Zamoyskiego) do ludzi honorowo nieodpowiedzialnych.

Może mi kto powie, że wyciągam historję z przed wojny, więc niemal z przed potopu, z końca XIX wieku, więc niemal ze średniowiecza. Zgoda. Oto epizod z powieści J. Weysenhofa p. t. „Jan bez ziemi“, drukowanej na łamach „Kurjera Warszawskiego“ w ro-

ku 1929: panna Dosia Tolibowska, o której rękę stara się bohater powieści, hr. Jan Skumin, przeprosiła swego dansera, iż z powodu zmęczenia nie dokończy z nim mazura... i wyjechała z balu. Danser ów, zdziwiony i cokolwiek urażony, zapytuje Skumina, czy to on wpłynął na ten nagły odjazd pięknej panny. No, i Jan bez ziemi, którego autor daremnie zresztą usiłuje zrobić sympatycznym, znajduje w tej rozmowie dostateczny materiał do wyzwania. Nie odradza mu tego bezsensownego czynu sędziwy pan Dymitr Chalecki (postać, mająca budzić szacunek), przeciwnie, podejmuje się roli sekundanta.

Pojedynek kończy się bezkrwawo, dzięki niedopatrzaniu sekundantów, którzy nie dopilnowali wyjęcia srebrnej papierośnicy z kieszeni niefortunnego dansera i pojedyńkowicza. Zato specjalnego posmaku „rycerskiej zabawy” dodaje ten szczegół, że Skumin przed pojedyńkiem zapisał sobie na kartce, iż trafi przeciwnika w „tylne biodro” i triumfalnie demonstruje ją po szczęśliwym strzale. I znowu wszyscy są zachwyceni, nawet ksiądz prałat Lipski, choć stanowisko kościoła katolickiego w sprawie pojedyneków jest aż nadto wyraźne. A Dosia, mająca uosabiać w powieści ideał dzielnej, nowożytnej panny, właśnie wskutek tej obrzydliwej, trywjalnej awantury postanawia wreszcie oddać swą rękę Skuminowi, mówiąc: „Ślicznie to zrobiłeś, mój Janku”.

Ślicznie, niema co mówić! Całe szczęście, że to pisał mężczyzna, bo stokroć gorzejby było, gdyby podobny stan rzeczy sankcjonowała swem piórem współczesna kobieta.

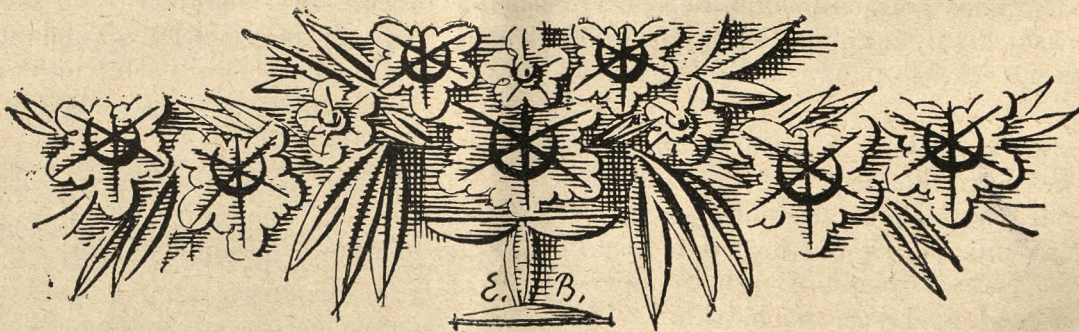
Możnaby również powiedzieć: — Szczęście, że to tylko powieść! — gdyby każdy z nas nie znał z życia niezliczonych przykładów spraw o podłożu równie blahem, z których nie jedna miała tragiczne zakończenie. Któż z nas nie słyszał o tem, jak to dzieci

traciły ojca, lub rodzice syna, wskutek blahej sprzeczki, rezultatu obfitej libacji?! Ja sama znam kapitana, który stracił oko, pojedynkując się ze swym pułkownikiem, z powodu niepoehlebnej opinii, wyrażonej przez panią kapitanową o kapeluszu pani pułkownikowej.

Czasby już najwyższy był skończyć z tem barbarzyństwem, z łańcuchem koszmarnych absurdów, któreby mogły być nawet komiczne, gdyby nie ich fatalne następstwa. Niezbędne stało się stworzenie pojęcia godności osobistej, opartego na innych zasadach, niż dotychczasowe, sprzeczne z duchem chrześcijaństwa, urągające postępowi kultury i zwykłemu zdrowemu rozsądkowi.

Zadanie to podjęła nowo zorganizowana Liga Reformy postępowania honorowego, która w jednym z pierwszych paragrafów swej ustawy uznała kobietę, jako odpowiedzialną honorowo. Działalność Ligi rozwija się w tym kierunku, aby stosunek człowieka do człowieka przestał opierać się na zawilej sieci czczych formulek, drobnych próżnostek, średniowiecznym tradycjonalizmem, a został zbudowany na murych fundamentach poszanowania człowieczeństwa w bliżnim.

Kobieta, utajony motor lwiej części spraw honorowych, kobieta uznawana dotychczas za małoletnią w sprawach honoru, wziąć musi w tej akcji energiczny udział. Wywalczywszy sobie prawa obywatelskie, uznana obecnie przez poważne zrzeszenie za odpowiedzialną honorowo, popierać powinna to znaczenie całym swym wpływem w domu, rodzinie, towarzystwie, wychowaniu młodego pokolenia, w instytucjach zawodowych, społecznych i na arenie publicznej. Tylko bowiem zmiana opinii całego społeczeństwa usunie zeń katastrofalne barbarzyństwo dzisiejszych spraw honorowych.



KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

JEZIORA

III.

Ta sama jesienią na powietrzu nie:
 cóż tam nad jeziorami za nowina może być?!
 Tam piorą koszule te same dziewczęta,
 może która z nich i dom i mnie pamięta?
 Może Judytka Józię zapyta:
 „Gdzie to wędruje dziś ta — co nas uczyła czytać?”
 Może westchnie która, albo się zaśmieje
 jedna... druga... trzecia... po kolei.
 Siostrzyczki moje, loterbeczki jasnookie,
 stoję i ja nad jeziorem... A jezioro to głębokie, głębokie!
 Głębsze, niż Balta, i Lubist, i Kosz, i Dąb jezioro...
 Stoję nad wodą wielką, a przebyć mi ją niesporo.
 Och, gorsza ona, zimniejsza, niż ta, w której pierzecie
 i maczacie wasz len i konopiel
 A iodnak trzeba... I może przejdę ją, przepłynę.
 A może się utopię...



HERMINJA NAGLEROWA

22)

ZAWALIDROGA

(powieść)

XXII.

Hala wyjechała do Lwowa i Franek miał teraz wrażenie, że jej nieobecność jakgdyby z powrotem oddawała mu dom. Stało się tak swojsko, że można było wędrować po wszystkich pokojach, śpiewać, gwizdać, otwierać wedle swojej ochoty okna i patrzeć, jak sztywne liście agawy pną się wgórę, niby szerokie, obosieczne noże.

Ale wnet poplątała się radość z najwewnętrzniejszym protestem, bo przecież nie wszystko zatrzymało tu formę dawnych wspomnień. Wprawdzie w pokoju matki rozścielała się na łóżku ta sama jedwabna kapa, haftowana srebrnym zygzakiem gałązki i bladym kwiatem wiśni, ale właśnie pachniał tu kwiat jabłoni, a w koszyku różowiła się rozczoch-

chrana wełna szala. I dlatego Franek już od progu stehórzył, i nie patrząc ani wprawo, ani wlewo, odszukał w tapecie małe drzwi, prowadzące do pokoju ojca. I tu, przypatrując się godzinami tabakierkom, ułożonym pod szklaną taflą stolika, niby ubocznie myślał o tym sąsiedztwie sypialni. Tak tu było zawsze i dzieckiem bawił się otwieraniem i przymykaniem tych zamaskowanych drzwi, które zatrząskiwały się, jak wieko pudełka. Ojciec brał go czasem na kolana, aby się przyjrzał tabakierkom, ułożonym na strzępach starej brokateli. I to właśnie zostało niezmiennione, przechowane wytrwale w zamięłowaniu zbieracza.

— Zabawki ojca — skrzywił się Franek, a tak już usposobiony pogardliwie za to dziecinne i niko-

mu nieprzydatne manjactwo, mógł teraz wszystko inne pomyśleć o ojcu. Zdawało mu się, że przejrzał go dobrze i ocenił słusznie, więc, doprawdy, nie ma teraz powodu milczeć. Są tu tak we dwóch i wyjazd Hali jakby zrównał ich szanse. A może nawet dał Frankowi przewagę? Bo właśnie tak było, że Kaliński przebiegał ostrożnie w słowach i najwyraźniej unikał syna.

Zato Franek gotował się do ataku, nie wiedząc jeszcze, jak i kiedy się to stanie.

Przyszło to jednak samo z siebie. Może nawet z nudów przy stole, a może z samej niecierpliwej ochoty walki. Nagromadziło się przecież aż nazbyt wiele niechęci przeciw ojcu i teraz wydawały się już niepotrzebne te małe pogodzenia, które uśmierzały i jakby trzymały na wodzy zuchwalstwo syna. Franek, patrząc na ojca, stwierdzał, że już na zawsze chyba przestał lubić to wysokie, podłysiałe czoło, te oczy niebieskie, które zatajały przed synem brzydkie sprawy, te zmarszczki, wykreślające, niby klinowem pismem, nieodecztane tajemnice.

I dlatego może należało brać ojca na tortury, by go zmusić do wyznań. Należało zdeptać ten nibymajestat, aby wszystko stało się jawne i wedle prawdy osądzone.

Dziś właśnie napisał długi list do matki, w którym zdawał relację z tego, co się tu działo. Ale wistocie miał list inne cele. Franek rozpytywał o sprawy, które dotąd były niejadalne, jak trujące grzyby. Chciał wiedzieć raz wreszcie, jak to sobie ułożyli w rozwodowych ugodach? Bo od tego zależało, czy może pójść na agronomję, aby kiedyś w tych Kalińcach gospodarować. Zapewne, nie ucieszy się matka tym listem, ale już chyba dość tej igraszki z nim!

Po napisaniu listu, jeszcze pełen odwagi, zamierzał także odrazu rozprawić się z ojcem. Siedzieli właśnie przy kolacji i milczenie niepokoiło się aż nazbyt długo. Franek myślał ze złośliwą satysfakcją: Dobrze, że nie ma Hali. Może już tu wcale nie wróci i napisze do ojca: — Jesteś stary, za stary dla mnie!

I nagle — niewiadomo z jakiego zielonego strąka nadziei wyluskały się radosne projekty: że wszystko może się zmienić, bo matka tu przyjedzie i pogodzą się...

— Pogodzą się dla mnie!

I już tak łatwo można sobie było wyobrazić, jak się tu pomieści między ojcem i matką, jak się ten dom zadowoli. Nie będzie to nic nadzwyczajnego, tyle tylko, że ustanie wzburzenie, które dramatyzuje teraz każdą powszednią sprawę. Uspokoją się przedsenne chwile, te najgorsze, bo zawiele wiedzące. Będzie już dobrze, napewno będzie dobrze, choć może ci dwoje starsi i tak bardzo doświadczeni, inaczej sobie wszystko układają.

Zboku chmurzyła się wprawdzie myśl nad tem, co przecież jeszcze trwa, ale pośpiech wyobraźni omijał corychlej rzeczywistość.

Syn spojrzał na ojca i dla tych dni, które będą dobre, ofiarowywał wieczystą zgodę. Czekal — kto powie pierwszy? Spazm skurczył serce, bo przecież było wiadome, że nie ojciec będzie mówił. Cóżby zresztą miał do powiedzenia, skoro wszystko wie, rozumie i przewidział — syn?

Trzeba więc tylko przemóc ten ciężki, zahaczający się bieg tchu, aby głos szedł równo i spokojnie.

Cisza wyścielila się pod słowa, jak taca pod kształt owoców. Franek płynąc wzrokiem po biele obrusa, mówił najpierw o sobie, o swoich zamiarach. Tak, właśnie pisał o tem do matki. Po zdaniu matury nie pomyślał jeszcze poważnie, co dalej robi, ale teraz, w Kalińcach (powiedział: w domu!) już się zastanowił i wie. Chce pójść na agronomję i potem, oczywiście, pomagać ojcu. Wie napewno, że ma powołanie do takiej pracy.

Proste słowa Franka podrywała jednak potajemnie nurtująca gorączka. Bezwiednie buntował się zdyszany głos, a oczy parły ku wymykającym się oczom ojca. Ale już było się na dobrej drodze, więc trzeba jeszcze niejedno wyjawic, co dotąd kryło się bojaźliwie i nikczemnie. Konieczne musi teraz odrazu powiedzieć o matce i ciężkich warunkach warszawskich.

Byłoby zapewne lepiej, gdyby umiał o tem mówić spokojnie, ale właśnie rozżalał się i pojękiwał, niby płaczące dziecko. Bo dopiero teraz, gdy mówił o tem, pojął, jak głęboko tkwi wzruszenie, jak właściwie niema dostatecznych określeń na to, co jest w nim najważniejsze — na miłość do matki.

I dlatego, wbrew woli Franka, zwyczajne słowa nabrzmiewały ekstazą, a uniesienie szarpało się w nieprzytomnych gestach. Jakgdyby wyciągał ręce: Oto jestem między wami, jak błyskawica, łącząca odległe chmury! — I jak szybki bieg iskry, objawiło się nagle coś, czego nie należy nazwać, tak jest wielkie i święte! Lecz właśnie trzeba się odważyć, trzeba wyrwać z blasku dźwięk! Pęka ściana, jak w migotliwej sekundzie wizji i krzyczy, szumi, huczy objawiona prawda: synostwo!

Zapał spłynął, jak burzliwa woda w głębokie brzegi. Już wiedział. Niemal pokornie wyszeptywał to wszystko, co czuł i myślał. Wstydząc się, mówił, jak cierpi. Rozrzewnienie posiało się mgłą między nim a ojcem i dobrze było nie widzieć nic, nawet nic nie słyszeć. Wystarczy, że można w sobie samym rozpoznawać te dziwne sprawy, wiążące się od nieznanych początków — po ważną obecną chwilę.

Ale właśnie odezwał się ojciec.

— Cóż ty wiesz o tem, co możesz wiedzieć o życiu, które jest powikłane i powichrzane?

Ojciec mówił cicho i miłosiernie, jakgdyby wy-

baczał zuchwaistwu syna i dlatego tak trudno było odpowiedzieć: — Wiem więcej — znam przecież moją prawdę — to, że jestem wśród was, że jestem!

Na wargach ojca zadrgał zły uśmiezek.

— Czy to matka ci nakazała, abys mi o tem mówił?

Stało się wtedy tak ciężko i mroczno, jak w więzieniu. To ktoś niesprawiedliwy a możny wymuszał kłamliwe zeznania, więc trzeba było odrazu, jak najmocniej zaprzeczyć:

— Nie! Nie!

— Bo widzisz, te sprawy nie dotyczą ciebie. To już my dwoje — ja i twoja matka — załatwiliśmy ze sobą. Tak trzeba było. Tak musiało się stać.

— Ale ja?

I nagle zabrakło argumentów. Wzruszenia ochłodziły. Syn patrzył na ojca z cierpliwym spokojem. Mógłby mu teraz dopiero wszystko powiedzieć, teraz dopiero całą prawdę: — To twoja wina! — Ale jednocześnie przypominał sobie wesół, niemaczyny śmiech matki. Przypominał tamte oczywiste winy.

— Ujmujesz to jeszcze dziecinnie — uśmiechnął się ojciec. — Nie chcieliśmy ciebie skrzywdzić. Trochę przesadzasz, trochę się unosisz, ale ani mnie, ani — jak sądzę — matce nie możesz nic zarzucić. Myślimy przecież o tobie.

Franek słuchał uważnie. Każde słowo ojca było prawdziwe, poparte faktami. I właśnie dlatego odczuwał wstyd, że jest — że muszą tak myśleć o nim, choć mieli tyle swoich spraw, swoich własnych, wśród których nie było właściwie miejsca dla niego. Jakże żałował teraz, że ośmieszył się wzruszeniem,

patosem, całem tem wyznaniem! Jedno mądre i chłodne słowo ojca zadawało już klęskę, jeden lekceważący, a tak wszystkowiedny uśmiezek — poniżał. Franek poznawał tak bezsilę wszelkiej prawdy, ujawniającej się zbyt głośno i niepohamowanie. Ale jeszcze z resztkami wzburzenia myślał:

— Trzeba inaczej, trzeba jakoś inaczej dowieść i wykazać swoją słusność.

Ojciec mówił dalej:

— Jesteś już przecież dorosły i mógłbyś wiele zrozumieć, gdybyś chciał. Trzeba tu także i twojej dobrej woli.

Nie, to już nie były argumenty, to już nie przekonywało. I dlatego powiedział głośno i zuchwale:

— Rozumiem — moją krzywdę! A wy — patrzył ojcu prosto w twarz — wy właśnie nie chcecie mnie dostrzec. Zwłaszcza ty. Aniś widział, jak rośłem, ani wiesz, co myślałem sobie przez wszystkie lata. Czy sądzisz, że to nie ma żadnego znaczenia dla ciebie? Dla mnie zato były to sprawy ważne, już ci nawet nie wytłumaczę, jak ważne. Przez trzy lata nie chciałeś mnie wcale widzieć. Teraz wiem, dlaczego. Ale ciebie to nic nie obchodzi i to właśnie ja mam wszystko zrozumieć, na wszystko się zgodzić, bo — tak chcesz, bo dla siebie urządziłeś się jak najlepiej, jak najprzyjemniej.

Franek widział, jak opalona twarz ojca stała się żółta, a policzki zmięły się skurczem giewu. Pomyślał, że teraz może się stać coś strasznego i serce stuknęło głośno jeden raz, poczem fala krwi napęliła gorącym kark, skronie, ręce, ściskające się w pięść. Był w pogotowiu.



M. H. SZPYRKÓWNA

Z WĘDRÓWKI

V.

U ŹRÓDŁA CUDU.

Od wczesnego rana — a podczas tłoku wielkich pielgrzymek z własnymi księżmi, dosłownie od świtu — w Lourdes rozpoczynają się nabożeństwa. We wszystkich czterech kościołach przed wszystkimi ołtarzami odprawiają się msze. Najbardziej odwiedzane przez pielgrzymów są, z powodu obszaru, dwa wielkie, spiętrzone na sobie kościoły: Różańcowy i Nie-

pokalanego Poczęcia. Zaś najmilsze dla samotnika są: Grota i Krypta — katakumbowa kaplica w skale, o długim, tajemniczym kurytarzu i zawsze rozszepcanych spowiadalniach.

Msze w Grocie są rezerwowane zasadniczo dla starszyny duchownej. Urokiem ich jest, że odbywają się na powietrzu, pod górą, pełną najśliczniejszej zieloności, nad strugą. W Grocie samej jest miejsce za ledwie na kilka klęczników. Kobietom podczas nabo-

zeństw do tych klęczników dostęp jest wzbroniony. Tak to już się przedziwnie składa, że objawień u Groty doznał nie mężczyzna, tylko kobieta — Bernadeta — i objawiła się jej także kobieta ongiś na ziemi, Matka Boska. Niemniej, kobietom do Groty wstęp wzbroniony, choć mogą tam o każdej porze przebywać robotnicy, posługacze, zakrystjan, a czasem — i kot zakrystjana. Poczekajmy jeszcze! Tempora mutantur.

Około jedenastej opodal Groty zaczynają się gromadzić tłumy, ściągając ze wszystkich świątyń. Otaczają nieduży czworobok, ocieniony drzewami i odgradzony kratą z furtami. W głębi kilkoro drzwi, zasłoniętych płótnami, kołysanymi przez wiatr. Wewnątrz ogrodzenia — wtaczane i ustawiane w kolejkę nosze, wózki i fotele z ludźmi, podobniejszymi do widm, niż do ludzi. Sanitarjusze i siostry krzątają się pomiędzy nimi, wwożąc, wywożąc i udzielając wskazówek.

To — kąpielisko uzdrowieńcze, którem Lourdes przyciąga tysiące kalek i chorych z tysiąca zakątków świata. To owe cudowne źródło, doprowadzone rurami do basenów, których jest cztery, czy pięć zaledwie, bo cienka nić wody nie wystarczałaby na więcej. Coś w rodzaju rytualnych sadzawek ewangelicznych, do których ściągają po niebieską pomoc ci, których wszelka nadzieja ziemską zawiodła. Źródło cudownych uzdrowień i niezliczonych, a przenigdy niewytłumaczonych zjawisk, które działa się i dzieją nadal w tem najdziwniejszym uzdrowisku świata, gdzie Matka Miłosierdzia jest naczelną ordynatorką. I jedyny lek, jaki w Lourdes jest stosowany, to woda z Groty, przyjmowana w modlitwie, jak lekarstwo w wodzie.

Może nie będzie pozbawionem dla czytelników ciekawości że wodę tę, na instancję przeciwników Lourdes i za zgodą lekarzy, poddano kilkakrotnie szczegółowej analizie, celem wykrycia w niej jakichś chytrze utajonych pierwiastków radjo — czy inaczej aktywnych. Niestety, nie wykryto nic, oprócz, że jest doskonale zdrowotna. Na to, żeby dojrzeć pierwiastek, którybym nazwała: saneto-aktywnym — nie mamy dotąd odczynników. Sceptycy więc muszą pogłować się jeszcze czas jakiś, pocieszając się teorjami o histerji i autosugestji, a czasem nawet — o obłędzie masowym. Ha! Niejeden rakowaty, czy zżarty gangreną, który zostawił choróbsko w owej bezaktywnej wodzie i wrócił z Lourdes zdrów, zgodziłby się chętnie na takie nawet epitety w szpitalu zwykłym, gdyby ów zwykły szpital posiadał sztukę uleczenia chorych organicznie zapomocą najbardziej choćby obelżywych wyzwisk. Niestety, takiego jeszcze nie mamy.

Pograżalnie — może jest to neologizm, ale wydaje mi się wobec procederu, jaki ma tam miejsce, najodpowiedniejszy — pograżalnie owe tedy składają się z kilku basenów, wpuszczonych w poziom,

z wanną, przez którą przecieka woda z Groty. Najstraszniejszym i wprost odrażającym dla przybysza jest fakt, że woda ta się nie zmienia po każdym chorym, gdyż wanny spuszczone są tylko dwa razy na dzień — a jedynie uzupełniana zapomocą nieustannego dopływu. Kąpią się w niej natomiast ludzie ciężko chorzy, zakaźnie ropiejący, zgangrenowani straszliwymi ranami, których strupy zostają często w wannie — krwawiący. I woda ku końcowi godzin sanitarnych jest nieraz nie do patrzenia bez mdłości. A jednak pograżenie się w niej bez wszelkiej antyseptyki jest aktem wiary — i najprzedziwniejszym dla ludzkiego sądu jest fakt, że w Lourdes nie było *mypadku zakażenia*. Można nie uzdrowieć: ale nie można zachorować. Woda była, oczywiście, badana przez lekarzy. Rozmawiałam o tem z naczelnymi władzami na miejscu.

— I co znaleziono w takiej wodzie po trzygodzinnem opłókiwaniu najstraszniejszych ran? Czy w Lourdes nawet bakcyle w cudowny sposób znikają?

— Nie! Ale po zbadaniu wody z pograżalni, skonstatowano, że obecne w niej bakcyle, a jest ich dosyć, przestają żyć. Tem samem, nie mogą być szkodliwe. Jak to się dzieje? Nie wiemy. Wiadome są tylko wyniki.

Jeszcze raz więc tajemnicza „aktywność” niewiadomej nazwy! Bo z fizycznych właściwości łatwych do skonstatowania, można tylko stwierdzić, że woda ta jest lodowato zimna. W jaki sposób chorzy i chore, którzy od lat nie znosili dotknięcia, nie mówiąc o nagłym zanurzeniu w mrozącym prądzie, wytrzymują ten wstrząs — nie wiem! Większością są tak słabi, że spuszcza się ich na prześcieradle, trzymanem za końce, aby oszczędzić poranionym, okaleczalnym ciałom najmniejszego dotyku. Od nagłego szoku zdarzają się nawet wypadki omdlenia: nigdy jednak zaziębienia lub pogorszenia choroby. Wycierać się nie wolno. Zażywać lekarstw nie wolno. Wolno tylko modlić się i wierzyć w pomoc Wielkiej Uzdrowicielki.

Toteż modlitwa, obok wody, jest tym fluidem, który wypełnia Lourdes. Podczas gdy w pograżalniach chorzy są spuszczeni do wody, zarówno sanitariuszki przy nich, jak tłum nazewnątrz, pod przewodem intonujących inwokacje księży, na głos i bez przerwy odmawia modlitwy. Są to modlitwy o niewysłowionym prymitywizmie, które chwytają za serce, oddziałując na najgłębsze, najrdzenniejsze ludzkie jego struny. Nikt się tam nie modli za siebie: wspólnota pierwszych gmin apostolskich, gdzie wszyscy tworzyli jedność, w Lourdes zmartwychwstaje i zmienia się w rzeczywistość dzisiejszą.

— Panie! Ten, którego ukochałeś, jest chory! — zaczyna ksiądz w języku, jakim mówi przybyła pielgrzymka, a są tam bodaj wszystkie narzecza świata.

I stugłoso, tysiącłoso, czasem — wielotysięczny zaśpiew podchwytuje błagalnemi, drgającemi wiarą głosami:

- Panie! Ten, którego ukochałeś, jest chory!
- Panie! Rzeknij słowo, a będę uzdrowiony!
- Panie! Uczyń, ażebym przejrzał!
- Panie! Spraw, ażebym słyszał!
- Panie! Powróć mi władzę chodzenia!

I znowu:

- Panie! Rzeknij słowo, a będę uzdrowiony!...

Wielotysięczny tłum klęczy z rozkrzyżowanemi ramionami, z oczyma w górze, z sercami, które lecą na skrzydłach ekstazy do tronu niebios. A pomiędzy zwartą ciżbą pielgrzymów kordon trzyma przejście, a przejściem jeden za drugim, jeden za drugim, ciągną, ciągną, ciągną kalekie, straszliwe, żalosne wózki tych, którzy już wracają z pogrzezalni. Co za twarze! Co za wyrazy!... Co za epopeje zadawnionej, cierplivej, męczeńskiej pokory, uciszonej pogody, ufnego zachwycenia! Na maskach z pergaminu, na nieludzkich już prawie obliczach, wyczelowanych przez lata cierpień, malują się przeżycia, które jeszcze nie znalazły swego Homera i swego Ropsa. Serce opada i dusza zaczyna wyć, jak przerażone zwierzę, szarpiąc się na smyczy, która ją jednak trzyma przy tem najstraszliwszem na świecie widowisku. Aż zrozumie, że uciec od tego nie można, że obraz ten zostanie nawsze, odbity na płótnie duszy, jak umęczona twarz Chrystusa na chuście Weroniki: że można tylko — modlić się z nimi i za nich! I ktokolwiek był przy tem, nie wie sam, w jakiej chwili przestaje istnieć dla siebie, a staje się tylko jednym wspólnem, błagalnem wolańiem, leżącym z ust tysiącznej, rzuconej w prochy rzeszy przed stopy Pana:

— Seigneur! Celui, qui vous aimez, est malade!... Seigneur! Dites un mot, et je serai guéri!... O, Seigneur, o Seigneur, o Seigneur!...

Te to właśnie zbiorowe inwokacje, wygłaszane podczas pograżania chorych i podczas procesji Błogosławieństwa popołudniu i powtarzane przez wielotysięczny tłum: one to zyskały u przeciwników Lourdes sceptyczne i pogardliwe uwagi o patosie, „niesmacznie zaszczipianym przez duchowieństwo” i o „efekciarskich sposobach”. Ale w takim razie wszelki ceremoniał musiałby także być odrzucony, i pomalutku doszlibyśmy do absurdu. Dokąd ludzie składają się z ciała i ducha, ze zmysłów i umysłu — obie te części — jaźni domagają się odpowiedniej dla siebie strawy. I jak ciało bez pożywienia fizycznego, tak dusza bez wzruszeń uczuciowych usycha, karłowacieje i przestaje żyć.

Popołudniu odbywa się wspomniane już Błogosławieństwo chorych, podczas którego najczęściej mają miejsce notowane przez Biuro Stwierdzeń uzdrowienia. Setki kalekich wózków ustawia się w czworobok na placu przed Bazyliką. Uroczysta procesja wychodzi z Groty z Przenajświętszym Sakramentem, księżmi, chórami i tłumem, obchodząc poszczególne wszystkich chorych. Dzięki majestatycznemu rozplanowaniu Bazyliki z jej pochylniami, tarasami i placem, widowisko to, widziane zgóry, tylko od strony dekoratywnej, jest imponujące — i nastrój tłumy podczas Błogosławieństwa dosięga szczytu. Wspaniała zieloność drzew i masy kwiatów, chóry duchowieństwa i dziewcząt pod welonami, ogromne słońce i błękit nieba nad głową, złota iskra monstrancji, spływająca z rąk księdza na zachłannie czekające chwili cudu oczy; rytmiczny zaśpiew modlitwy: wszystko to łączy się w wicher, podrywający orłem skrzydłem dusze i łączący w całość serca. Tyle leż tam płynie, zanim się płaczący spostrzeże, że płacze, tyle lkań rozlega się nisko przy ziemi, tyle ramion błagalnie się wyciąga ku niebu! Jakgdyby potężne tchnienie Bóstwa przeciągało nad głowami tłumy, pochylają się one w pokorze i uwielbieniu, które, nie znajdując wyrazu w słowie, najczęściej znajduje go w łzach. Czy — to szczególny haracz, który tam człowiek przynosi Bogu, przetrawiając ich gorczyzą skamieniałą obojętność codzienności.

Ten wstrząs psychiczny w Lourdes jest bodaj najważniejszym „cudem”. Straszliwe morze niedoli bliźniego człowieka tam otwiera się przed duszą, porażając nie tylko głębią stokrotnej i okrutnej udręki, ale również jej zasięgiem. *Tylu i takich* nieszczęsnych okaleczeńców w jednym miejscu, możnaby widzieć chyba tylko czasu wojny na froncie. Ale to nie jest wojna, to — pokój! To — codzienne, zwykłe ich życie! Dla nich niema ratunku w szpitalach, skąd ich wydalonono za beznadziejność, dla nich niema ucieczki w nauce, która rozłożyła bezradnie ręce: dla nich pozostało jedno już tylko: cud! I do tego cudu dążą, i w ten cud wierzą, i ta wiara jest jeszcze ostatnią nicią, na której z przepaści mogą się wydźwignąć na poziom — i nie wolno, grzech, wstyd i zbrodnia jest ludzi tej ostatniej ostoji w życiu pozbawiać! Nie wolno zwalczać wiary, nie wolno zaprzeczać cudom dlatego, że w *naszym* światopoglądzie możliwość ich się nie mieści!... jak nie wolno zatruwać szkodliwym bakcylem i tak chorego ciała. Szczęściem, że i ten bakcyl niewiary, jak tyle, tyle innych, ginie bez reszty przy istotnem zetknięciu z potężną psychicznymi antyseptykami atmosferą Lourdes, jak chorobotwórcze mikroby w cudownej wodzie Groty!...



MARJA DOBROWOLSKA

W POWROTNEJ DRODZE

IV raid samochodowy pań

Na dany przez startera znak wszystkie obsady wsiadają do aut i według kolejności numerów stają do wyścigu górskiego.

Pierwsza pędzi śmiało p. Maryańska na potężnym Delage'u, dalej p. Koźmianowa, która zdobywa pierwsze miejsce na swym rasowym Austro-Daimlerze, panna Zahradnik na dużej Skoda i nasza „Cytrynka”. Pani Podhorodeńska bierze mocne tempo i w doskonałym czasie staje na finish'u. Dobiega zaraz wieść o dodatnim wyniku biegu. Parę minut stoimy chcąc dowiedzieć się innych wyników, a chociaż czas postoju się neutralizuje, jedziemy dalej.

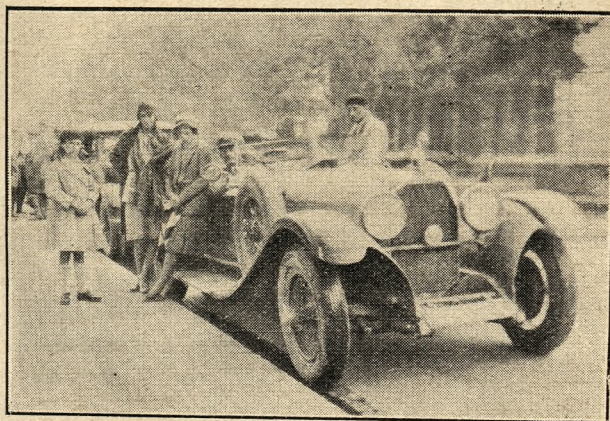
Czarowny, widok z przełęczy Limanowskiej wynagradza emocje górskiej próby. Z otwartego wozu zachwycony wzrok biegnie nieskończenie daleko.

Przez Limanową przepiękną szosą dojeżdżamy do Myślenic, gdzie czerpiemy benzynę, a dzięki uprzejmości policjanta zdobywamy w niedzielę owoce w otwartym naprędcie sklepie. W podziw wprawiają piękne brzoskwinie, kupione w tak małym miasteczku.

Równy i prędko gazuje maszyna zgóry wdół i znów w górę. Na wzgórzu zostaje klasztor w Kalwarii i przez Wadowice zbliżamy się ku wysokiej Kocierzy. Góra na 420 mtr. porośła przepięknym świerkowym lasem. Krętą, pyszną szosą wspinamy się coraz wyżej. Przy drodze dziewczęta sprzedają poziomki! Ogarnia nieprzeparta chęć kupienia ich i odświeżenia spieczonych ust, ale niema w co zabrać jagód, a czas nie pozwala na postój.

Ze szczytu góry, niesłychanie krętymi serpentykami, zwozi nas kierowczynie ostrożnie wdół prześlicznym lasem. W dali majaczą Beskidy, a ku Żywcowi dąży z okolicy mnóstwo ludzi.

Uderza odrazu ogromna zmiana typu, akcentu mowy i stroju. Kobiety noszą ciemne, plisowane spodnice, długie, proste kaftany z jedwabiu kolorowego,



W Alei Szucha przed Automobilklubem.

obszyte koronką, z bufiastymi rękawami, jak przed 30 laty. Twarze ślązaków poważne, niemal surowe.

Za Żywcem mijamy Bystrą i wpadamy do Bielska. Duże, czyste, kulturalne miasto, najeżone kominiarni fabryk. Rozstawiona na placach i rogach ulic policja wskazuje nam drogę do Wisły.

Wkrótce ogarnia nas nieklamane zdumienie. Oto precudna szosa z prasowanego asfaltu ciągnie się przed nami na przestrzeni 30 klm. Po naszych podstolecznych wertepach nie chce się wierzyć, że to także Polska!

Ale oto mały, europejski Skoczów, Ustroń i — koniec dzisiejszego etapu — śliczna Wisła.

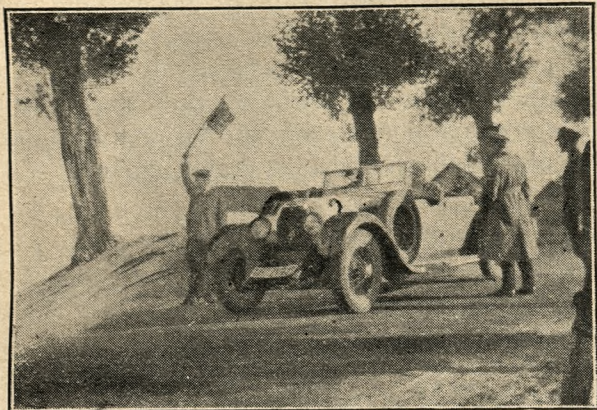
Zebrani w parku samochodowym około 5-tej, dowiadujemy się, że dzielna i przemila p. Regulska uległa na wyścigu górskim wypadkowi wybuchu motoru, co uniemożliwiło jej dalszą drogę. Ale zawzięta automobilistka nadjeżdża z mężem, nie chcąc ani na chwilę opuścić emocyj raidowych.

Po załatwieniu formalności kwaterunkowo-rajdowych rozchodzimy się do opustoszałych pensjonatów. Wieczór jest dosyć ciepły, wschodzi jasny księżyc, więc po wspólnym wesołym obiedzie wędrujemy o 1 klm. dalej do... dancingu „Oaza”! Gwar nasz zdumiewa spokojnych niedzielnych wycieczkowiczów, a że przy fortepianie siedzi, według słów piccola: „taki doktor, co w dzień robi praktykę, a wieczorem tu gra” — więc raidowe pary idą w tan. Kierowczynie okazują zaiste niesłychaną wytrzymałość i humor po 2 dniach raidu.

Ale oto ktoś przynosi hiobową wieść. Z rozkazu komandora Grabowskiego mamy startować o 4.45. Wahamy się chwilę, czy warto wogóle iść spać, ale rozsądek po odbytych 325 klm. bierze jednak górę i rozchodzimy się pośpiesznie w cudną księżycową noc.



P. Maryańska w Zakopanem przed wyruszeniem na II etap.



P. Gawłowa na pierwszym etapie.

16.IX Wisła — Warszawa.

Za spoconymi szybami ciemno jeszcze zupełnie i ostrym blaskiem migają gwiazdy, kiedy szykujemy się z pośpiechem do drogi. Zdajemy sobie sprawę, że będzie męcząca, bo wynosi 450 klm. Biorąc przeciętną dla wozów II grupy około 40 klm., daje to 11 godzin bezustannej jazdy. Ranek jest przeraźliwie zimny. Isni rosa gęsta, jak szron, aż wozy mokre są od niej. Po starcie, otuleni w co się da, ruszamy ku Warszawie.

Jadę na Citroen Nr. 5 z p. Gawłową, która przybyła ze Lwowa specjalnie na raid. Tą samą świetną szosą jedziemy przez Skoczów na Bielsko. Nagle spływająca z Beskidów mgła tak gęsta, że zasłania wszystko. Sygnalizujemy przeraźliwie, pocą się odwietrzniki, i na kilkadziesiąt kroków nie widać.

Za Bielskiem wypadamy ku Pszczynie. Mijamy Tychy, gdzie wyrabiają sławne książęce „piwa Tyskie”, i bokiem objeżdżamy Katowice.

Ślązaczki w długich kaftanach, mocno wciętych, śpieszą na targ. Ciężkie dymy snują się z kominów licznych fabryk. Przejeżdżamy pobliski Sosnowiec, podobny jeszcze w typie do miast śląskich, i Będzin — już tylko echo tego typu — z ruinami Zamku.

I tu myśl reasumuje wrażenia z przebytych byłych trzech zaborów. Różnica dróg, wsi i miasteczek tak wybitnie rzuca się w oczy, przemawiając na niekorzyść wschodniego zaborcy. Ale na reminiscencje wszelkiego rodzaju niema czasu.

Zjeżdżamy się w Siewierzu, kupując benzynę w aptece! Odprowadzani uprzejmym drogowskazem w osobie policjanta, jedziemy do jakowychś Żarek. Tam zdumiewa nas zielony i kwietny skwer na rynku, zaś mieszkańców wyprowadza z równowagi jasna *combinais* a naszej kierowczynie.

Dalej gdzieś w polu sterczą przedziwne skały, las jakgdyby sztucznie niemi dekorowany, piękny park, zabudowania, pałac. To Złoty Potok hr. Raczyńskich, blisko Janowa położony. Potem pochłaniamy znów wiele kilometrów przez brzydkie wsie i dojeżdżamy do Radomska. Na rynku kilka wozów bierze benzynę, co wywołuje zbiegowisko, ledwie trzymane

w ryzach przez liczną policję. Zaciekawione straganiarki dopytują się, skąd to i dokąd tak jedziemy. A po otrzymaniu odpowiedzi oznajmują: „my ta zaraz mówili, że to jakieś fajne kobity, bo same auta prowadzą”.

Mkniemy szybko, bo chociaż od naszego wyjazdu upłynęło 6 godzin, czeka nas jeszcze droga daleka, przez Gorzkowice, brzydki Piotrków, Tomaszów i wreszcie piękne lasy pod Rawą, gdzie spotykamy warszawskie wozy, wyjeżdżające na nasze spotkanie.

I znów równe tempo maszyny i podstołeczna brzydota. Około Tarczyna stajemy przy starcie do płaskiego biegu. Zjawiają się kwiaty, szampan, fotografowie biegają nerwowo. Jesteśmy wszyscy zmęczeni, ale do domu nikomu nie pilno.

Po niejakim czasie start według kolejności przybycia wozów. Zwycięża w wyścigu p. Koźmianowa, bijąc o jedną sekundę p. Maryańską. Na finish'u czeka wiele wozów z Warszawy.

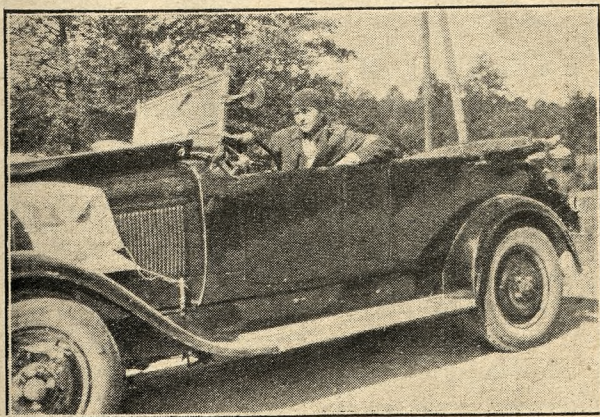
Ustawieni według numerów, ruszamy za autami naszych raidowych władz, a za nami długim sznurem ciągną wozy prywatne. Przez szereg ulic śródmieścia dojeżdżamy pod siedzibę klubu i tam się rozstajemy, wracając do codzienności.

Została wszystkim w pamięci wyborna organizacja raidu, przemiła koleżeńska atmosfera i czar widzianych ojczystych stron.

Raidy takie mają doniosłe znaczenie nie tylko, jako wyraz treningu sportowego i próba wytrzymałości maszyn. Dowodzą one, że i na tem polu kobieta, odpowiednio przygotowana, może śmiało współzawodniczyć z mężczyzną. Jest wytrzymała, silna, karna, posiada bystrą orientację i przytomność umysłu.

Poza tem raidy mają duży wpływ na rozwój turystyki. Raz widziane przepiękne okolice zachęcają do powrotu. Podkarpacie, Beskidy, Pieniny, Podhale — to takie cuda, że uczestniczki raidów powinny organizować wielkie samochodowe pielgrzymki, a ludzie stołeczni muszą jeździć tam licznie, zamiast duścić się na podmiejskich lotniskach.

Na drugi dzień po raidzie odbyło się w nowej



P. Koźmianowa na starcie próby płaskiej.

siedzibie Automobil-Klubu Polski uroczyste rozdanie nagród, w gościnnym, przemiłym nastroju, aż do tradycyjnej 4-tej.

Pierwszą nagrodę zdobyła p. Koźmianowa, drugą p. Maryańska, trzecią p. Podhorodeńska. Poza te punkty dodatnie otrzymały p. Gawłowa, p. Zahrad-

nik i p. Gebethnerowa. Nagrodę pocieszenia — „puhar goryczy” — p. Paprocka.

Zaznaczyć należy, że nagrody były prześliczne, odbiegające daleko od szablonu pucharów, z któremi nie wiadomo, co potem robić. Za ten pomysł należą się Automobil-Klubowi Polski wyrazy uznania.

M. KARCZEWSKA

UNJA GOSPODYŃ SŁOWIAŃSKICH

W roku ubiegłym, w czasie zjazdu czeskich gospodyń w Pradze, w którym wzięło udział kilkadziesiąt ziemianek i instruktorek polskich, rzucone zostało po raz pierwszy hasło związku gospodyń słowiańskich.

Może przyczyniła się do tego nasza obecność, ale napewno głównym powodem wysunięcia tego projektu na tym właśnie zjeździe, a nie na żadnym z poprzednich, było to, że zarówno w Czechach, jak i w Polsce kończyło się pierwsze dziesięciolecie od chwili odzyskania niepodległości, kończył się okres gojenia ran, zadanych przez wojnę, i wchodziło się w fazę pracy twórczej, do której oba państwa pociągały wszystkie najlepsze siły narodowe.

Stało się więc, że nazajutrz po walnem zebraniu zostałyśmy zaproszone na naradę, która miała wytknąć dalsze drogi porozumienia. Zaproszenie wyszło od p. Pelantowej, redaktorki czeskiego pisma, poświęconego organizacji gospodarstwa domowego; w nara-dzie wzięły udział p. Kiewnarska, jako przedstawicielka prasy, Wilanowska — ziemianek, Zdanowska — gospodyń małorolnych, Szumlakowska — naukowej organizacji pracy domowej i Karczevska — Rady naczelnej gospodarczego wykształcenia.

Wynikiem narady był wybór Warszawy dla ostatecznego porozumienia i decyzja zaproszenia do projektowanego związku, oprócz obecnych przedstawicieli Czecho-Słowacji i Polski, jeszcze Jugosławji.

Rok upłynął od tego czasu i przyniósł różne fakty, które zjednoczenie gospodyń słowiańskich uczyniły tembardziej pożądanem i aktualnem.

Były to fakty *wewnętrzne*, jak np. jednoczesne starania Polski i Czecho-Słowacji o wprowadzenie katedry gospodarstwa domowego do akademji, oraz zapoczątkowanie jednoczesne założenia stacji prób i doświadczeń w zakresie gospodarstwa.

Wydarzeniem *zewnętrznem*, pobudzającym kobiety słowiańskie do prędszego zjednoczenia, była niezmiernie żywa akcja niemiek, które, kierowane niepospolitą energją i ambicją, zaczęły szybko się wy-suwać na przodujące stanowisko we wszystkich zjaz-

dach, na których bezpośrednio, albo ubocznie, trakto-wane były sprawy gospodarcze; dążenie ich do utworzenia związku z Austriją i Holandją na wzór Federacji gospodyń z państw północnych i agresywne wystąpienia na Kongresie Międzynarodowym Kobiet, który się odbył w Berlinie i wywołał konflikty z francuzkami, z powodu wystąpienia niemki — p. Matz — przeciwko okupacji Nadrenji, i z czeszkami, które czuły się dotknięte przyjęciem do związku stowarzyszenia niemiek z Czech, pomimo, że czeski miały w związku swoje narodowe przedstawicielstwo.

Okazało się dobitnie, że związki międzynarodowe kobiet, obliczone na solidarność płci, mają swoje granice, gdy chodzi o ambicje narodowe, że więc związek słowiański — wobec tworzącego się związku niemieckiego — jest ze wszech miar pożądanym.

Tak wewnętrzne, jak i zewnętrzne warunki stały się więc pobudką do aktywnego zajęcia się sprawą związku, którego projekt został opracowany i przyjęty przez Radę naczelną gospodarczego wykształcenia w Warszawie, jako wyrażający dążenia i życzenia 20 instytucyj, tworzących obecnie tę Radę. Projekt został posłany do organizacyj czeskich i jugosłowiańskich, a termin zjazdu zaprojektowano między 10—15 września w Warszawie.

Doprowadzenie akcji do końca nie było wcale łatwem; okazało się bowiem, że w Jugosławji organizacje kobiece są dopiero w załazku, zaś w Czechach niema dotychczas związku centralnego, któryby mógł wystąpić w imieniu wszystkich zrzeszeń.

Mimo to delegatki wkońcu otrzymały pełnomocnictwa i przyjechały 15 września do Warszawy w osobach pp. Pelantowej, dr. Berkowcowej, B. Cikhartowej i Wiesnerowej z Czechosłowacji, oraz pp. Nikolajewicz i Ristiwojewicz z Jugosławji. Polskę reprezentowały pp.: Czarnowska — przew. ziemianek, Karczevska — przew. Rady N. G. W. K., i Szumlakowska — przew. Sekcji G. D. I. O. P.

Dzień 15.IX, t. j. niedziela, poświęcony został wzajemnemu przedstawieniu stanu organizacji gospodyń w odnośnych krajach i omówieniu warunków ich rozwoju; przyczem było rzeczą charakterystyczną, że

każda z pań przemawiała w swoim języku, zrzadka posługując się francuszczyzną w razie trudności w tłumaczeniu jakiegoś wyrazu. W stosunku polek z czeszkami było to prawie zbyt czułym: trochę trudniejszy do zrozumienia był język serbski, jednak i z tym nazajutrz dawałyśmy sobie już wcale nieźle radę.

Po wspólnym obiedzie w Stow. Sług Św. Zyty odbyła się wycieczka do Wilanowa (jakże tam przeobrażone brudy świadczą o braku na miejscu dobrej gospodyni!), do cudownych Łazienek, do Zamku i na rynek Starego Miasta. Wieczorem były delegatki w operze na „Strasznym Dworze” i złożyły hołd mogile Nieznanego Żołnierza.

Kulminacyjnym punktem narad było zebranie w poniedziałek 16.IX w Stowarzyszeniu Ziemianek, przy udziale przedstawicieli instytucji, tworzących Radę N. G. W. K. Każda z pań obecnych reprezentowała którąś z naszych instytucji, a więc stowarzyszeń, szkół gospodarczych, seminarjów etc. Nasza konsolidacja, zwartość, wysoki poziom wyrobienia naszych delegatek zrobiły duże wrażenie na gościach, tak że skonstatowano dobitnie, iż Polska przoduje pod tym względem wobec gospodyń z pozostałych państw; fakt ten uwydatnił się potem w konkluzji.

Po rozpatrzeniu projektu i wprowadzeniu paru drobnych dopełnień został on ostatecznie przyjęty. Muszę tu jeszcze dodać, że przewodniczyła na tem zebraniu p. Pelantowa, której spokojny, opanowany, niezmiernie jasny nie osobisty, sposób prowadzenia obrad zyskał niemałe uznanie obecnych.

Związek przyjął nazwę *Unji gospodyń z państwo słowiańskich centralnych* — gospodynie z każdego państwa będą miały trzy przedstawicielki, które mają się zbierać kolejno w innym państwie, co dwa lata. Ponieważ „Unja” ma przedewszystkiem do spełnienia zadania praktyczne, więc program przewiduje organizację rozmaitych wycieczek, wymianę praktykantek gospodarczych, przedewszystkiem z pośród nauczycielek; wspólne i jednoczesne wystąpienia do władz w sprawach, związanych z rozwojem nauki gospodarstwa, np. w celu uzyskania katedr ekonomiki domowej w uniwersytetach; założenie stacji doświadczeń gospodarczych, organizowanie odczytów i wykładów, zaznajamiających szerszy ogół z działalnością gospodyń, organizowanie konkursów, wymianę wydawnictw i t. p.

Wielkie zainteresowanie wywołały w gościach kursa korespondencyjne dla gospodyń, cieszące się u nas takim powodzeniem (962 uczestniczki w ciągu roku), nasz konkurs przodownic w gospodarstwach małorolnych (115 uczestniczek), zjazdy w Częstochowie przy udziale kilku tysięcy kobiet i t. p.: delegatki otrzymały też po egzemplarzu kursów i różne wydawnictwa, dotyczące naszej pracy gospodarczej.

Po skończonym zebraniu przyjmowała obiadem członków już zawiązanego komitetu p. Szumlakowska, poczem nastąpiło podpisanie statutu, podwieczo-

rek, wydany przez R. N. G. W. K., i wreszcie pożegnalna kolacja w hotelu Europejskim. Nazajutrz zwiedzały delegatki Wyższą Szkołę w Chyliczkach, Seminarjum Zawodowe i Gospodarcze, a opuszczając Warszawę wyrażały najwyższe uznanie dla naszej pracy i uczucia zadowolenia z powodu zawiązania „Unji”.

Zebranie obecne uznane zostało, jako wstępne, i na wniosek p. Pelantowej następne zebranie odbędzie się za rok również w Warszawie, a przez ten czas czeski i jugosłowianki mają stworzyć konsolidację swoich organizacji, aby stanąć do pracy w tych samych warunkach, co Polska.



TEATR MAŁY

„Koniec pani Cheyney” — komedia w 4 aktach Fryderyka Lonsdale’a. Przekład Niny Niwilli, reżyserja Karola Borowskiego, dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

W teatrach naszych w pełni trwa sezon na „anielską kobiecość”, wcielaną w postaci najbardziej dwuznacznej, albo i jednoznacznej konduity, byle nie w osławioną „dame z towarzystwa”. Jakże te ohydne plotkary, zakłamanie ze szczętym hipokrytki, wiarołomczynie i lwice salonowe wyglądają przy pełnych prostoty, szczerości i wdzięku aniołach z kabaretu albo złodziejskiej spelunki. Po „niewinnej” Mary Dugan przyszła kolej na dziewiczą złodziejkę, która dzięki swej urodzie, wykwintnym manierom, no, i prześlicznym tualetom (arcydzieła Zmigrydera), oczarowała high life londyński i sama jest przezeń oczarowana.

Właściwie wszystkiemu jest winien pewien przemiły łobuz, lord Artur Dilling, uwodziciel z pod ciemnej gwiazdy, który rozkochał się na dobre w rzekomej lady Cheyney, byłej sprzedawczyni w dziale pończoch, a obecnie wytwornej złodziejce, i miłością swoją zbudził w jej dziewiczym serduszkach tęsknotę do życia uczciwego. Zamiast ukraść bajeczny sznur pereł, urocze dziewczętko robi karierę, jak z bajki: wychodzi zamaż za lorda!

Glupim sztukom wiele można wybaczyć, jeśli są zrecznie zrobione i dobrze zagrane. „Koniec pani Cheyney” ma nierówne tempo dialogu i chwijną linię zainteresowania. Jest zlepkiem fragmentów bardzo zajmujących i plastycznych, obok zupełnie płaskich i jałowych. Ale całą tę niezręczną imitację psychologii uszlachetnia prześliczna gra Romanówny (pani Cheyney) i Grabowskiego (lord Dilling).

Romanówna stworzyła śliczną postać liryczno-bohaterską, pełną szczerzego uczucia i salonowej finezji: była prawdziwą heroiną z nieprawdziwego zdarzenia, a w zakończeniu aktu trzeciego schodziła ze sceny, jak Marja Stuart na szafot. Grabowski wyrzekł się na ten raz kabotynizmu i zdobył się na

akcenty mocne i szczere. Mierzejewski był dużo lepszy w libej kamerdynera, niż w „cywilnym” popielatym garniturze.

Pięta achillesowa sztuki był zespół „arystokratycznych” dam. Zrozumiała jest rzeczą, że i autor i reżyserja chcieli je pokazać nieco w karykaturze, aby tem lepiej na ich tle uwypuklić szlachetną prostotę lady Cheyney. Trudno jednak było w tem rojowisku rajcujących kucharek, ubranych i uczesanych, jak elegancki z przedmieścia, dopatrzeć się chociaż cienia podobieństwa do high life'u angielskiego.

Przytem u artystek naszych panuje przekonanie, że arystokratyczna wymowa polega na geganiu przez nos i przeciąganiu w nieskończoność każdej sylaby. Jest to obrzydliwa maniera, w dodatku zaraźliwa, jak histerja. Reżyserja powinna tępić ten nałóg, jak zarazę.

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

POKOJOWY KONGRES KOBIECY W PRADZE

Niezmiernie ciekawy kongres kobiecy odbył się w ostatnich dniach sierpnia w Pradze czeskiej: Międzynarodowy Zjazd Kobiet Ligi Pokoju i Wolności. Wszystkie kraje, w których Liga ma swoje oddziały, przysłały delegatki, prócz tego przybyły w charakterze gości Kongresu kobiety z Hiszpanji, Włoch, Turcji; obok przedstawicieli państw europejskich, znalazły się też delegatki z Ameryki, Chin i Indji Wschodnich. Polskę reprezentowały pp.: dr. Budzińska-Tylicka, J. Łypaciewiczowa i J. Giżycka.

W pałacu Oświaty Rolniczej wygłoszono szereg b. ciekawych referatów, wykazujących, jak poważnie, głęboko i ze znajomością rzeczy ujmują kobiety zagadnienie pokoju. Przedewszystkiem zdają sobie członkinie Ligi Pokoju i Wolności dokładnie sprawę z obecnej sytuacji ekonomicznej i finansowej państw, jak również i z tego, że czynniki ekonomiczne ważą obecnie bardzo wiele, jeśli nie wszystko, w stosunkach politycznych mocarstw. Kwestja, który kraj zapewnia swoim obywatelom najlepsze warunki życia i które państwo, z powodu nagromadzenia największej ilości złota, jest właściwym władcą świata — została gruntownie i rzeczowo oświetlona w referacie pani Agnieszki Mac Phail z Kanady.

Inne referatki mówiły o rozwiązaniu kwestji narodowościowej, kooperacji państw w sprawie rozbrojenia i realizacji paktu Kelloga. Punktowi temu został nawet specjalnie poświęcony pierwszy dzień obrad.

Posiedzenia zjazdu urozmaiciły nadto liczne odczyty i zebrania wieczorne.

POMNIK ELIZY ORZESZKOWEJ

Pierwsza pionierka wyzwolenia kobiety w Polsce, gorąca patrijotka i wielka twórczyni — Eliza Orzeszkowa — uczczona zostanie pomnikiem w odrodzonej ojczyźnie. Odsłonięcie pomnika autorki „Marty” odbędzie się 11 października w Grodnie. Na dzień ten zjadą liczni goście, uczestnicy zjazdu literatów i dziennikarzy w Wilnie, przedstawiciele władz oraz instytucji społecznych, przybyłych w związku z uroczystościami jubileuszu uniwersytetu wileńskiego.

Dyrekcja państwowego Muzeum grodzieńskiego zorga-

nizowała również na te dni wystawę pamiątek, pozostałych po Orzeszkowej. W salach starego zamku królewskiego wystawiony zostanie szereg cennych eksponatów, między innymi rękopis powieści „Nad Niemnem”. Większość eksponatów zostanie, jako muzeum Elizy Orzeszkowej, w Grodnie.

CO KUPOWAĆ

Liga Samowystarczalności Gospodarczej, która choć istnieje niespełna od roku, rozwija jednak energiczną działalność w celu uzdrowienia naszego bilansu handlowego — przystępuje w obecnym sezonie do wzmożonego propagowania wytwórczości krajowej. W tym celu zorganizowany zostanie specjalny Tydzień Samowystarczalności Gospodarczej.

W roku ubiegłym, organizując Tydzień Samowystarczalności, Liga wysunęła osiem grup towarów, których import zwalczać przedewszystkiem należy, a więc: 1) materiały włókiennicze; 2) odzież, konfekcja, galanterja; 3) obuwie; 4) jedwabie; 5) mydła, kosmetyki, perfumy; 6) owoce i warzywa; 7) obuwie gumowe; 8) wyroby szklane.

Wszystkie te towary mamy na miejscu, a wyrób ich, z wyjątkiem jedynie perfum, nie tylko nie ustępuje, lecz w wielu wypadkach przewyższa wyroby zagraniczne. To też propaganda Ligi wydała już rezultaty i przywóz towarów z tych grup zmniejszył się znacznie. Śmiało powiedzieć można, że w tym zakresie najwięcej zależy od kobiet, one bowiem są głównymi konsumentkami tych towarów dla siebie i dla domu. Obecnie panie zwrócić muszą uwagę na przemysł winny. Przechodzi on obecnie ciężki kryzys, którego główną przyczyną jest trudność opanowania... swego własnego rynku. Restauratorzy i kupcy bojkotują wina krajowe, gdyż są tanie i procent od nich jest minimalny.

Tu znów otwiera się pole dla pań domu. Doskonałe, zdrowe i tanie krajowe wina owocowe należy wziąć pod specjalną opiekę, wprowadzić ich użycie w domu przedewszystkiem, żądać ich podczas pobytu w restauracji, gdzie obecnie — śmieszna rzecz — gość, pijący wino krajowe, traktowany bywa, jako „gorszy”. Trzeba więc conajprędzej zerwać z tym snobizmem. Kobiety powinny pamiętać zawsze o tem, że są poważną siłą nabywczą i że od ich wyboru zależą duże sumy w bilansie handlowym. Muszą więc kierować się przy swych zakupach zdrowym patriotyzmem gospodarczym.

DELEGATKA POLSKIEGO TOWARZYSTWA EMIGRACYJNEGO WYBRANA DO ZARZĄDU MIĘDZYNARODOWEJ KONFERENCJI INSTYTUCYJ SPOŁECZNYCH OPIEKI NAD EMIGRANTAMI W GENEWIE

Na VI Sesji Międzynarodowej Konferencji Instytucji Społecznych opieki nad emigrantami w Genewie osiągnięty został przez Polskie Towarzystwo Emigracyjne wielki sukces, gdyż po raz pierwszy od czasu istnienia Konferencji wybrana została do Zarządu, prawie jednogłośnie, polka, przedstawicielka Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, p. Lucja Kipowa.

P. Kipowa wygłosiła na posiedzeniu Konferencji obszerny referat w sprawie egzaminów emigrantów w Konsulacie Amerykańskim w Warszawie. Referat ten został przez zebranych b. życzliwie przyjęty. Przedstawicielki stowarzyszeń amerykańskich prosiły, aby dalszą akcję złożyć w ich ręce, co jest bardzo celowe, gdyż rozpowszechnienie tej akcji na terenie Stanów Zjednoczonych może dać pożądane rezultaty.

Drugi referat p. Kipowej, dotyczący równouprawnienia emigrantów w dziedzinie ubezpieczeń społecznych, został z powodu nawału materiału przekazany Komitetowi Wykonawczemu do dalszego opracowania. Przedstawicielka Polskiego

Towarzystwa Emigracyjnego została również zaproszona na Komitet Reorganizacyjny oraz Komitet Wykonawczy.

Sukces ten przedstawicielki Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego jest tem donioślejszy, że daje społeczeństwu polskiemu możliwość intensywniejszej współpracy w dziedzinie emigracji na terenie międzynarodowym.

NAUKOWA ORGANIZACJA PRACY

Instytut Naukowej Organizacji Pracy urządza w październiku nowy, dwudziesty pierwszy z rzędu cykl wykładów. Tematem ich będzie: Badanie czasu. Kalkulacja kosztów. Systemy płac. Podstawa kierownictwa. Kontrola wykonania. Naukowa organizacja biurowości. Budżet, jego istota, technika przygotowania i wykonania, oraz działalność kontroli. Psychotechnika. Marnotrawstwo w zakładach przemysłowych, urzędach i życiu publicznym. Dla każdej kobiety, na stanowisku urzędniczym, lub kierowniczym biura, zakładu przemysłowego, a nawet większego domu, przejście takiego kursu będzie niezmiernie pożyteczne.

Zapisy przyjmuje kancelaria Instytutu: Mokotowska Nr. 51/55, w godzinach biurowych.

JAK DOBRZE PROWADZIĆ TEATR AMATORSKI

Jedną z ulubionych rozrywek, zwłaszcza na prowincji, jest urządzanie przedstawień amatorskich. Ma ono prócz tego ważne zadanie kulturalno-oświatowe, zarówno dla dorosłych, jak i dla młodzieży. Znaczna liczba kobiet, działaczek społecznych, zajmuje się gorliwie organizacją teatrów amatorskich w szkołach i stowarzyszeniach. To też pożyteczną będzie dla nich wiadomość, iż w r. b. Związek Teatrów Ludowych w Warszawie zorganizował specjalny kurs instruktorski korespondencyjny dla kierowników i reżyserów teatrów. Kurs ten, ze względu na swój system, jest dostępny dla wszystkich, zamieszkałych na prowincji, nie odrywa nikogo od zajęć, dając wszystkie potrzebne wiadomości przez korespondencję. Program obejmuje przedmioty teoretyczne i praktyczne z zakresu teatrologii.

Informacje i zapisy w Związku Teatrów Ludowych w Warszawie: Tamka Nr. 1.

NOWE REFORMY SZKOLNE W ANGLII

Na odbytem niedawno w Londynie posiedzeniu przelożonych szkół żeńskich ustalono, że w systemie prowadzenia egzaminów maturalnych najpożądanwsze byłyby następujące reformy: zwracanie bacznej uwagi na różnorodność typów umysłowych dziewcząt i sposób ich podejścia do wyznaczonego tematu; zniesienie współzawodnictwa w stopniach, przez danie każdej egzaminowanej innego tematu; wzięcie pod uwagę całokształtu pracy uczennicy w ciągu roku, a nie wyłącznie zadań, wykonanych w sztucznych zawsze warunkach końcowego egzaminu; pozwolenie używania w czasie egzaminu słowników i podręczników. Wszystkie te reformy, uznane przez anglików za pożądane nowości, zostały już, z wyjątkiem ostatniej, od kilku lat wprowadzone w szkolnictwie polskim.

NAUKA ELEKTRYCZNOŚCI W SZKOŁACH ANGIELSKICH

Angielskie Kobiectwo Tow. Elektryfikacji czyni u władz oświatowych starania o wprowadzenie do szkół praktycznego kursu o elektryczności. Dzięki propagandzie tego ruchliwego związku, elektryfikacja gospodarstwa domowego zrobiła w ciągu ostatnich kilku lat olbrzymie postępy. Dość powiedzieć, że w wielu domach zaprowadzono już koldry elektryczne. Jest to

leciutka tkanina jedwabna, połączona z akumulatorem, dająca jednostajne, łatwe do uregulowania ciepło, o sto procent higieniczniejsza od koców, kolder watowych lub puchowych. Wobec takiego, na każdym kroku, używania elektryczności, niezbędnem staje się praktyczne zapoznanie z nią od wczesnego dzieciństwa.

NOWY SYSTEM WIEZIENICTWA — DZIEŁEM KOBIETY

Pierwszą i jedyną dyrektorką więzienia w Niemczech jest pani Rosa Helfers. Ma ona pod swem kierownictwem więzienie przy Barnimstrasse w Berlinie. Pani Helfers jest członkiem Landtagu, wybrana ze stronnictwa socjalistycznego. Dzięki temu stanowisku, uzyskała możliwość wprowadzenia dużych reform w administrowanem przez siebie więzieniu. System jej polega na wzbudzeniu u więźniów godności osobistej i zamiłowania do pracy. P. Helfers zorganizowała na Barnimstrasse kilka rodzajów szkół, tak, że więźniowie mogą korzystać z wykładów wszystkich przedmiotów szkoły średniej, z języków obcych, zarówno jak z rzemiosł i nauki gospodarstwa domowego. Dyrektorka zwraca się do każdego więźnia per pan lub pani, spędza ze swymi pensjonarzami po kilka godzin, na rozmowie, wykładach i zajęciach praktycznych. Dzielną tą kobietą posiada ogromny wpływ osobisty, wynikający zarówno z jej siły fizycznej, jak i moralnej. Najoporniejsi więźniowie, podlegający atakom hysterji, lub nawet furji, uspokajają się pod wpływem jej spokojnej, pełnej siły i dobroci perswazji.

Specjaliści więziennictwa w Niemczech oczekują doniosłych rezultatów działalności p. Helfers.

PIERWSZA OBRONA TRIUMFEM SPRAWIEDLIWOŚCI

Kobiety hinduskie, które w ostatnich czasach biorą żywy udział w ruchu niepodległościowym Indyj, dążąc do uspołecznienia i oświaty szerokich mas, zdobywają też stale coraz nowe placówki, dawniej dla nich niedostępne. Obecnie, panna Nehru została pierwszą adwokatką w Indjach północnych. Po świetnie zdanych egzaminach dyplomowych i praktyce, p. Nehru wystąpiła przed trybunałem w Allahabadzie w obronie dwóch ludzi, posądzonych o morderstwo. Sąd wydał wyrok niewinności, poczem prokurator złożył młodej adwokatce powinszowanie z racji doskonałej obrony, która ocaliła życie niewinnych ludzi.

WSPÓLNIK I WSPÓLNICZKA

W mieście Reidsville, w stanie Karoliny północnej, otwartą została kancelaria adwokacka ojca i córki — pana i panny Sharp. Ojciec jest renomowanym prawnikiem, zasiadającym od szeregu lat w senacie stanu; córka — miss Lusie Sharp — ukończyła prawo na uniwersytecie w Chapel Hill. Nowa „firma”: „Sharp et Sharp” — cieszy się w mieście dużym powodzeniem.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. M. S. Prosimy uprzejmie o podanie adresu, odpowiedź wyślemy listownie.

P. Olimpię Marchwicką prosimy również o podanie dokładnego adresu, w celu listownego porozumienia.

NASZE UCZELNIE ARTYSTYCZNE

(dok.)

Szerszym rozmachem i nawskroś nowoczesnym stosunkiem do sztuki odznacza się Miejska Szkoła Sztuk Zdobniczych i Malarstwa, pozostająca pod kierunkiem chlubnie znanego ze swych prac rzeźbiarskich i wysokiej kultury artystycznej prof. Szczepkowskiego. Przyjmowani są do niej uczniowie i uczennice z cenzusem 4 klas gimnazjalnych, lub ukończoną szkołą powszechną; nie brak jednak w szkole i młodzieży z maturami, pragnącej całkowicie poświęcić się zawodom artystycznym.

Egzamin wstępny polega na wykonaniu dwóch rysunków: z modelu i z pamięci. Kurs jest czteroletni, przyczem każdy uczeń musi przejść przedmioty zasadnicze, jako to: rysunek, malarstwo, perspektywę i t. d., niezależnie od wybranej przez siebie specjalności. Rzeźbę prowadzą profesorowie: Szczepkowski i Żurkowski, malarstwo — Noskowski i Kurzątkowski, pejzaż — Kowalewski, rysunek figuralny — Butrymowicz, grafikę — Radwan, architekturę wnętrz — Zborowski, perspektywę — Roliński. Działy: ceramiki, litografji, tkactwa prowadzone są przez fachowych instruktorów.

Wpis roczny wynosi 250 złotych. Zajęcia dzienne trwają od 9-ej do 4-ej. Niezależnie od nich istnieją kursy wieczorne (od 6 i pół do 8 i pół wieczorem) i niedzielny kurs rysunku w godzinach przedpołudniowych. Ogólna liczba uczniów wynosi około setki. Na pierwszym kursie jest ich zazwyczaj 40, ale wielu z nich odpada w następnych latach, wskutek czego na najwyższym kursie jest obecnie 25 uczniów.

Bolączką szkoły była ciasnota pomieszczenia w lokalu przy ul. Wierzbowej. Wkrótce szkoła przenosi się do nowego gmachu, gdzie w pełni będą się mogły rozwijać rozległe zamierzenia artystyczne jej kierowników.

Charakter wybitnie klasyczny, akademicki, w stosowaniu metod artystycznych konserwatywny raczej, niż eksperymentalny, posiada Szkoła Sztuk Pięknych im. Wojciecha Gersona, zainicjowana przez Tow. Artystyczne, a pozostająca pod kierownictwem znanego art. malarza prof. Feliksa Słupskiego.

Pod względem organizacji finansowej, szkoła jest samowystarczalna, a opiekę nad uczniami rozstrząsa Rada Opiekunów, z prezesem architektem Stefanem Szillerem i wiceprezesem p. Stanisławem Brzezińskim (prezesem Zachęty) na czele. Rada Opiekunów wyłoniła z siebie Towarzystwo Przyjaciół Szkoły im. Wojciecha Gersona, które troszczy się o stypendja, zasiłki i finansową pomoc dla kształcącej się w niej młodzieży.

Założeniem kierowników jest dać adeptom sztuki to, bez czego niema prawdziwego artysty: umiejęt-

ność techniczną i wyrobienie estetyczne. Szkoła uprawia niemal wyłącznie sztukę czystą, w zakresie jednak teoretycznym obok kompozycji obrazowej uwzględniana jest i kompozycja zdobnicza; praktycznie odbywa się nauka kilimkarstwa na własnych warsztatach.

Oprócz nauki rysunku i malarstwa pod kierunkiem profesorów: Edwarda Okunia, Adama Grabowskiego, Tadeusza Nartowskiego (akwarela), Stanisława Bagińskiego i Feliksa Słupskiego, prowadzone są wykłady teoretyczne: anatomji plastycznej — dr. Poplewski, docent uniwersytetu, perspektywy — pr. Antoni Austen; zamierzony jest w tym roku kurs historii sztuki. Z powodu braku odpowiedniego lokalu dział rzeźby nie mógł być dotychczas wprowadzony w życie.

Warunki przyjęcia do szkoły: sześć klas gimnazjum; w drodze wyjątku przyjmuje się wybitnie zdolnych uczniów nawet z ukończoną szkołą powszechną, za specjalnem pozwoleniem Ministerstwa Oświaty. Kandydatów kwalifikuje się nie na podstawie egzaminu, ale sześciotygodniowej próby, w ciągu której można sobie zdać sprawę z istotnych uzdolnień ucznia i skierować go na właściwy kurs. Normalny czas nauki trwa trzy lata, może być jednak skrócony lub przedłużony, gdyż dyplom otrzymuje się nie na zasadzie lat nauki, ale prac konkursowych, dostępnych dla słuchaczy wszystkich kursów, bez różnicy. Nauka prowadzona jest indywidualnie i ma na celu wszechstronny rozwój jednostki utalentowanej.

Wpis roczny 500 zł., dla niezamożnych 400 zł. za 6 i pół godzin zajęć dziennie; na kursach wieczornych — 250 zł. za 15 godzin tygodniowo.

Instytut Sztuk Plastycznych, mający siedzibę w parku Frascati przy ul. Wiejskiej, a istniejący dopiero od paru lat, znamionuje dużą żywotność. Obok bowiem dotychczasowych wykładów malarstwa, rysunku, grafiki i zdobnictwa wprowadza w roku bieżącym nowość: pracownię doświadczalną sztuki dekoracyjnej pod kierunkiem Tadeusza Granowskiego, która podejmować się będzie wszelkich prac, wchodzących w zakres zdobienia wnętrz, dekoracyj teatralnych, afiszów, plakat, litografji przemysłowej i t. p.

Tą drogą uczniowie mają możliwość zetknąć się bezpośrednio z potrzebami życia, z odbiorcą, i już na terenie szkoły nabrać tego wyrobienia fachowego, które w przyszłości uchroni ich od wielu zawodów i niedostatku, tak często idącego w parze z powołaniem artysty.

Instytut wyrabia kilimy na własnych warsztatach, a obecnie wszedł w porozumienie z wytwórnią ceramiczną, która ma wypalać piece i kafle, komponowane przez uczniów.

Instytut ma prawa szkół rządowych i na uczniów rzeczywistych przyjmuje tylko kandydatów z maturą. Uczniowie nadzwyczajni przyjmowani są bez ograniczeń. Wpis jednorazowy 35 zł., — opłata mie-

sięczna 75 zł. za 8 g. zajęć dziennie. Kurs czteroletni. Początek roku szkolnego 1-go października.

Dyrektorem Instytutu jest prof. Rzecki, poza-tem wykładają profesorowie: Geppert, Granowski i Husarski.

Powyższy przegląd nie wyczerpuje bynajmniej listy szkół i kursów artystycznych w Warszawie. Celem jego było pobieżne z konieczności scharakteryzowanie najważniejszych i najbardziej uczęszczanych uczelni, w których młodzież nasza może znaleźć kierunek i poziom, odpowiedni do swoich uzdolnień i aspiracji.

H. Z.

W NASZYCH SADACH

Sytuacja w naszych sadach zaczyna się „wyjaśnić”. Wiemy już, że całkowitej zagładzie tegorocznych mrozów uszło zaledwie 10 proc. drzew. Starych drzew wymarzło więcej, niż młodych, z pomiędzy których w szczególności chorują pestkowe, oczywiście są nędzne i nie owocowały i dopiero najbliższa wiosna zadecyduje o ich trwaniu.

Prawie wszędzie bezpowrotnie wymarzły gruszki, szczególnie szczepione na pigwach; ostały się natomiast — same oczywiście drzewa, bo kwitnienie tegoroczne zmarzło — niezawodne świętomichałki, bergamotki, lipcówki. Dużą rolę odegrało w tegorocznej katastrofie zasilanie drzew lub też naturalna urodzajność gleby.

Ucierpiały w pierwszym rzędzie niewielkie ogrody i ogródki w osiedlach podmiejskich i o nich właśnie chcę dzisiaj mówić.

Każdy, kupujący podmiejską parcelę, pragnie przede wszystkim mieć ogródek owocowy, bo jest rzeczą dowiedzioną, że nic nie jest tak smaczne, niezwykle, znakomite, jak to, co wyhodujemy własnymi rękami; wtedy najlichsza gruszczyzna jest przedmiotem podziwu i adoracji, cienki szparag spędza sen z oczu sąsiada, a pomidory... no, to niema co i mówić: takiej odmiany jeszcze nikt nie wyhodował!

Jest to objaw wzruszający i miły i dowodzi, że najsmaczniejsze są owoce własnego wysiłku, a ponieważ tegoroczna zima dała nam ciągi nielada i wiele bardzo ludzi, których dotknęła klęska wymarznienia sadu (bądź osobiście, bądź na przykładzie), zniechęciło się do powtórzenia zakładania ogrodu — wartoby przyjrzeć się klęsce i wyprowadzić stąd jakieś wnioski.

A więc: należy unikać największego błędu, popełnianego przez dyletantów, którym się zdaje, że każdy gatunek drzewa można według kaprysu zasiać na każdym gatunku roli. A tak nie jest.

Drzew owocowych nie można sadzić według katalogu ogrodniczego, ani według chęci posiadania jakiejś odmiany, ale *trzeba zastosować je do gatunku gleby*, która w podmiejskich okolicach, gdzie, jak

grzyby po deszczu, powstają osiedla, domy w ogrodach — jest wyłącznie prawie piaseczkiem, w najlepszym razie mułkowatym.

Nie udawajmy więc, że posiadamy margle, gliny i próchnice, nie sadźmy odmian, które *muszą* wcześniej czy później, po krótszej lub dłuższej wegetacji zmarznąć, wyschnąć lub, pochorowawszy, wypaść, ale od razu mądrze dobierzmy gatunki drzew tylko te, które się na tych piaseczkach utrzymają.

Niedowiarek lub entuzjasta odpowie mi natychmiast: przy silnem nawożeniu można i na piaskach mieć te odmiany, które się nam podoba. Oczywiście, można mieć! — posadzić można, rokrocznie drzewa nawozić i to nie byle czem, ale krowieńcem, przed zimą przekopany z ziemią, a na wiosnę ciekłym; ale proszę wziąć ołówkę i policzyć, co to będzie kosztowało, po za tem dowiedzieć się, z jakim kłopotem jest związane wynalezienie i dowiezienie krowieńca, o ile się nie ma własnej obory (a któż posiada własną choćby krowinę na mordze lub pół mordze ziemi? Gdyby nawet posiadał, to czempredziej się jej pozbędzie, bo tylko własna pasza kalkuluje utrzymanie żywego inwentarza).

Oplaca się zatem sadzić tylko te odmiany, które utrzymują się i plonują na piaskach przy normalnem nawożeniu pod warzywa, które się w promieniu pni uprawia. Z takiego nawożenia mamy korzyść podwójną: warzywa i owoce.

Nie będę na tem miejscu pouczać, jakie odmiany sadi się na piaskach — od tego są specjalne broszury — chcę tylko z własnego doświadczenia zwrócić uwagę, że znakomicie owocują, są rokrocznie obfite dorodnym i wyborowego smaku owocem jesienne jabłka Ernst Bosz. Co więcej, w sadzie moim ani jeden Bosz nie wypadł, nadaje się więc nawet na najbardziej ryzykowne mrozy. Wszystkie inne odmiany jabłek, nie wyłączając Antonówek, bardzo ucierpiały.

Wypadły wszystkie gruszki, śliwki niepewne, chore, blade; czereśnie w sześćdziesięciu procentach wyginęły, nie mówiąc już o brzoskwiniach i morelach. Jednym słowem: cmentarzysko.

Ostały się laskowe orzechy, w małym procencie uszkodzone i, o dziwo! włoskie orzechy, straszące na wiosnę nagimi, pomarżłymi konarami, odbiły w czasie lata od pni nowe gałązeczki i, jeśli nie zmarzną tej zimy, będą uratowane. To jest specjalnie radosny fakt, bo włoski orzech — to nie tylko pożywny i smakowity owoc; to drzewo ślicznie dekoracyjne, o rozkosznie wonnych liściach. Włoskie orzechy — to radość i ozdoba każdego ogródka.

Straty są, oczywiście, przerażające. Ale cóż! nie należy opuszczać rąk, ale zastąpić drzewa wymarzniałe odmianami, wypróbowanymi w tej katastrofalnej zimie; a ponieważ na owocowanie nowoposadzonych drzew będziemy czekać jakieś pięć do dziesięciu lat, musimy zwrócić bacniejszą, niż dotąd, uwa-

gę na krzewy i jagodowe, które cały szereg lat zastępować nam będą brakujące owoce krajowe, ziarniste i pestkowe.

A zarówno krzewy, jak i jagodowe, wytrzymały tę zimę doskonale. Truskawki obrodziły znakomicie, porzeczki również; osiągnęły zresztą bardzo wysoką cenę (w zeszłym roku złoty, w tym — dwa pięćdziesiąt kilo); maliny były na krzakach, a cena ich jest zawsze jednakowo dostateczna; mamy więc świetną wskazówkę, czem uzupełniać luki w naszych ogródkach, zarówno czasowo, jak i na stałe.

Nietknięte zostały przez mrozy szparagarnie, należy więc specjalną pieczę otoczyć je w tym roku i wziąć się na serjo do zakładania nowych; tembardziej powinien je posiadać ogródek podmiejski, że szparagi lubią lekkie ziemie i rodzą się na nich bardzo smaczne.

Pamiętajmy, że ta wyborna jarzyna nadaje się znakomicie do transportu; podebrana łatwo przechowuje się w piasku; w międzypasach można siać rzodkiewki, sałatę, sadzić kalarepkę, fasolę, a do tego jesienią daje śliczne, poszukiwane, koronkowe gałązeczki, których nie należy nadmiernie wycinać, zato przed samą zimą ściąć i spalić, by zniszczyć grzybek, często je nawiedzający.

Plantujmy truskawki: dadzą nam zawsze duży zarobek, są niezastąpionym owocem, udają się na piaskach znakomicie; z drobnych, malutkich, nieudanych zrobimy wyborowe wino deserowe — i jeszcze jedno: nie zapominajmy o odmianie białej, ananasowej. Jest to najwytworniejsza truskawka, niestety, niewiadomo dlaczego, mało uprawiana. Pachnie cudownie, ma smak wykwintny i daje jedyne w swoim rodzaju, niezastąpione konfitury.

Maliny posadźmy wszędzie, we wszystkich kątach ogrodu, byle na słońcu. Najlepiej sadzić pasami, uprawiać planetem, nawozić co dwa lata, wtedy plon jest pierwszorzędny. Zalety tego owocu są nam aż nadto dobrze znane. Lekceważymy maliny niewiadomo dlaczego; były zawsze drogie, a w tym sezonie nie spadły niżej czterech złotych kilo.

Co się zaś tyczy porzeczki, które wybornie owocowały, toż to nasze winnice: wyrabiamy z nich znakomite wina, popularne już w całym kraju. Prócz czerwonych, nie zapominajmy o białych, znacznie smaczniejszych na srowo, wytwornych w winie, nieocenionych w galarecie i konfiturze; pamiętajmy i o czarnych porzeczki: wyrabia się z nich doskonałą, o charakterystycznym smaku konfiturę.

Zostało nam jeszcze jedno wdzięczne drzewko do omówienia. Nie zmarzło w tym strasznym roku: owocowało nawet dość obficie właśnie w tym sezonie i właśnie na piaskach. Mam na myśli rajskie jabłko. Te maleńkie, śliczniutkie jabłuszczyki — to prawdziwa ozdoba ogródka. Wyrabia się z nich doskonałą konfiturę, wyborowe, o specjalnie delikatnym smaku i ładnym kolorze galarety, dodaje się je dla podniesie-

nia smaku do jablecznika; podobno (nie próbowałam osobiście) wino specjalnie z rajskich jabłek jest prawdziwym przysmakiem. Rzadko w którym ogrodzie spotykamy te wdzięczne drzewka, ale w tym roku kłeski należy zwrócić na nie bacniejszą uwagę, choćby dlatego tylko, że tę kłeskę przetrwały.

Tak więc są możliwości zastąpienia i uzupełnienia bolesnych strat, które ponieśli właściciele ogrodów i ogół, jako pokrzywdzony konsument. Spożywanie owoców zagranicznych jest dostępne tylko uprzywilejowanym; już średnio zamożny człowiek rzadko kiedy może sobie pozwolić na kupienie w tym roku owoców. Jest to strasza krzywda, rozciągająca się na lata; można ją choć częściowo powetować powiększoną i intensywnie prowadzoną kulturą jagód i krzewów. Przy okazji nie zapominajmy o rabarbarum, który to krzak potrzebuje silnej ziemi, musi być posadzony na glinie i krowieńcu — na piasku marnieje, nie wydawszy żadnego plonu.

Kto ma choćby małą, ciepłą piwnicę, niech w niej postawi piecyk i hoduje pieczarki. Będzie miał znakomite pożywienie w postaci świeżych grzybów i zarobi kilkaset złotych. Minimalny kłopot założenia opłaci się sowicie. Należy wystarać się o dobry koński nawóz (z pod koni, żywionych owsem) i o dobrą grzybnię. Utrzymywać zasiew w stanie wilgotnym; po kilku tygodniach zbiera się obfity, drogocenny plon. Tę hodowlę polecam każdemu: procentuje się znakomicie, praca jest lekka. Najwyższą wartość mają pieczarki o jeszcze nierozwiniętych kapeluszach. Dodać należy, że nawóz z pod pieczarek użytkuje się z wiosną w inspektach, jest więc podwójnie użyteczny. Wyrzucony w kąt ogrodu, gdzie jest cień, potrafi poraz drugi w lecie plonować.

Zajmijmy się więc najrychlej kulturą pieczarek.

Właśnie teraz należy je zakładać, by w grudniu zbierać plon. Jest to praca lekka i sezonowa, jak jedwabnictwo — bardzo się nadaje dla kobiet.

Kto raz wprowadzi kulturę pieczarek, już jej nie zarzuci. Radzę jednak zasięgnąć szczegółowych informacji u fachowca, aby nie popełnić błędu. Konieczne są trzy warunki: dobry nawóz, dobra grzybnia i odpowiednia temperatura. Przy niskiej temperaturze piwnicy plon będzie lichy i nieobfity.

Takie są możliwości powetowania dotkliwych strat w naszych małych lub większych ogródkach.

Do pracy zatem! właśnie jesteśmy w sezonie sadzenia, zakładania, nawożenia.

M. M. S.

Czy wiesz, że ..

Nic Ci nie pomoże nowy strój balowy,
Ani też misterna ondulacja głowy,
Jeśli nie użyjesz — strojąc się na bal —
Cudnych perfum ŻAKA „LILAS IMPERIAL“... 203

MASŁO NA ZIMĘ

Lekarze dzisiejsi uważają, że każdy tłuszcz świeży — szmalec, topiona słonina, frytura, masło roślinne, oliwa i t. p. — jest strawniejszy od nieświeżego masła, to też chcąc to masło przechować dobrze, bez zmiany smaku, bez goryczki, przez czas dłuższy, należy zachować przy jego zakonserwowaniu ogromną czystość, ścisłość i staranność.

Najlepiej nadaje się do przechowywania masło majowe i czerwcowe, kiedy jego smak i aromat, wskutek wybornej świeżej paszy, są najlepsze. Masło sierpniowe, tak zwane „ścierniskowe“, jest jednak bodaj że trwalsze i mamy go zwykle w tym czasie dużą obfitość, bo chociaż mleka jest już mniej, niż wiosną i na początku lata, to jest ono bardzo tłuste i masło zeń wyrobione jest twarde i ścisłe, nadające się do dłuższego przechowywania.

Różne mamy i stosujemy sposoby przechowywania masła zależnie od tego, na jak długo je zakonserwować zamierzamy i jakimi składami rozporządzamy. Na wsi, gdzie mamy obszerne, suche piwnice i odpowiednią ilość beczek czy fasek, możemy przechować na zimę masło solone; w miastach, w niedużych zwykle spiżarniach — do piwnicy masła, jako produktu cennego, przeważnie się nie wynosi — lepiej jest przechować masło topione, które nawet w zwykłych butelkach szklanych czas dłuższy trzymać można.

Przedewszystkiem masło, używane do solenia na konserwę, powinno być jaknajdokładniej oczyszczone z serwatki. Dawniej osiągnano to zapomocą kilkakrotnego płókania wodą zimną i wyciskania drewnianymi łyżkami na nieckach. Teraz całą tę zmuśną robotę skuteczniejsza prasa, składająca się z ruchomego krążka drewnianego i fugowanego wałka, poruszającego się po niej.

Gdy już ani kropla płynu na powierzchni wygniatanego masła się nie pokazuje, należy masło osolić, biorąc na przędzy użytek dwa do dwóch i pół deka soli na kilo masła, na dłuższe przechowanie — trzy deka soli i pół deka saletry. Sól brać należy tak zwaną kamienną, doskonale utłuczoną i przesianą przez sitko. Po wyrobieniu z solą, masło na noc pozostawia się w nieckach, następnego dnia znów przepuszcza przez prasę, aby usunąć resztę wilgoci, powstałą przez rozpuszczenie się soli.

Teraz masło należy układać w drewniane faski, lub kamienne garnki, łyżkę po łyżce, starannie i dokładnie uciskając, aby nigdzie puste miejsce nie pozostało. Faski nie powinny być z drzewa smolistego, jodłowego, ani sosnowego, gdyż masło nabrałoby od nich przykrego, smolistego zapachu. Gdy się naczynie napelni, należy masło przykryć czystą, płócienną szmatką lub cienkim pergaminem. Na to nasypać suchej soli, która lepiej chroni od zepsucia, niż

posolona woda. Jeżeli jednak chcemy polać masło słoną wodą, to należy następnie pilnować, aby jej było w naczyniu tyle, żeby masło dokładnie nią było pokryte. Najlepiej jest używać te same faski z roku na rok, przed każdym użyciem parząc je kilkakrotnie wrzątkiem, po wyparzeniu susząc na słońcu i znów parząc. Nakoniec przed samem użyciem należy taką faskę wytrzeć dokładnie mialką, kamienną solą i dopiero wtedy napęścić szczelnie masłem.

O ile masło jest białe, ma nieładny kolor, co się zdarza często zimą i późną jesienią, gdy bydło jest tylko na suchym karmie — można je zlekka przyfarbować; jest to zabieg łatwy i dla zdrowia absolutnie nieszkodliwy. Używa się w tym celu gotowej farby, którą w składach narzędzi mleczarskich dostać można. Wszelkie „tanie i niezawodne“ gospodarskie sposoby farbowania masła: sokiem z marchwi, orleanem w proszku, odwarem z kwiatków nagietek — mają wspólną właściwość: źle wpływają na trwałość masła.

Tak posolone masło może być użyte do wszelkich ciast, mięs, jarzyn. Chcąc usunąć zeń zbytnią sól, wystarczy je namoczyć na noc w zimnej wodzie, a następnego rana wygnieść drewnianą łyżką, przelewając obficie wodą z sodą.

W gospodarstwach miejskich, gdzie przez rok cały niema trudności w nabyciu masła, do zapasów zimowych nadaje się raczej masło topione. Nawet nie-solone daje się ono przechowywać nieomal rok cały. Chodzi tylko o to, aby je jaknajdokładniej oczyścić z cząstek sernika, w niem zawartych, czyli żeby oddzielić tak zwane fusy. Można w tym celu masło sklarować w dużym rondlu, a następnie zupełnie przezroczysty płyn zlewać do kamiennych słoików lub lepiej jeszcze do zwykłych, szklanych, suchych butelek.

Gdy masło zastygnie, butelki zakorkować i, w miarę potrzeby, masło w butelce roztopić, przełożyć do garneczka i brać do użytku. Kamienne garnki należy obwiązać pergaminem, lub papierem szklanym. Wszelkie fusy, pozostałe po sklarowaniu masła, dają się doskonale zużyć do ciasta. Szczególniej smaczne są na nich wszelkie ciastka i paszteciki kruche.

Większe ilości masła można oczyszczać w sposób, używany w głębi Rosji, gdzie solonego na surowo masła wcale nie znają. Świeżo zbite masło rozpuszcza się w dużym mosiężnym, lub dobrze pobielanym kotle, z podwójną (na wagę) ilością wody, i daje się całej masie zastygnąć. W maśle robi się duży otwór, przez który się wylewa całą wodę. Woda zabiera z sobą wszelkie fusy i nieczystości. Pozostałe masło przetapia się już bez wody i zlewa w garnki, słoje, lub butelki. Tak, czy inaczej przetopione masło można przechować, zupełnie go nie soląc, lub też lekko soląc kamienną solą, dopóki jest ono w stanie płynnym.

Ponieważ nawet najlepiej sklarowane masło przy smażeniu łatwo się pali i zanadto rumieni, dobrze jest mieć w gospodarstwie pewien zapas masła, zmieszanego po połowie z topionym łojem wołowym (frytura), lub z dobrą francuską oliwą. Oba te tłuszcze, dodane do masła, nie zmieniają jego smaku, a dają doskonale rezultaty, szczególnie przy smażeniu mięs panjerowanych (sznycli, kotletów bitych), ryb i rozmaitych pasztecików, smażonych w tłuszczu. Taka kombinacja tłuszczów daje się przechować przez czas dłuższy i jest zawsze napogotowiu w razie potrzeby. Do smażenia różnych pasztecików daje się użyć nawet kilka razy, o ile jej przy użyciu nie przypalimy.

Pani Elżbieta.



PRAWDZIWE KOŁDUNY LITEWSKIE

Wszelkie kołduny, podawane w rosole, w barszczu, polewane masłem, posypywane serem, są tylko fantazjami na temat kołdunów. Prawdziwe kołduny litewskie podaje się wprost z wody i posypuje tylko tartą, rumianą bułeczką. Najsmaczniejsze kołduny robi się z młodej baraniny. Na pół kilo czystego mięsa od kotletówki, łopatki lub pieczeni bierze się sześćdziesiąt deka nerkowego łaju bez plew i skórek. Mięso można przepuścić przez maszynkę, o ile ta maszynka ma ostre noże i dobrze kraje, w przeciwnym razie lepiej je usiekać drobno tasakiem na desce. Łój w każdym razie należy pokrajać jaknajdrobniej, nożem. Utrzeć na tarce dwie duże cebule (15 deka), zmieszać to razem, osolić, popieprzyć, dodać sporą łyżkę drobno utartego majeranku, wlać pół szklanki bardzo zimnej wody, wymieszać raz jeszcze. Porobić z tego małe galeczki — nieco mniejsze od najmniejszego orzecha włoskiego.

Z osiemdziesięciu deka mąki, jednego jajka, wody i soli zagnieść ciasto nieco wolniejsze, niż na makaron, uformować z niego kulę, przykryć miską, dać się odleżeć godzinę. Wałkować jaknajcieniej, wykrawać kieliszkiem lub blaszaną foremką małe krążki, kłaść na każdym kulkę mięsa, składać napół,

Stara piosnka.

Stachowi pierścień przyniozłam z jarmarku,
Oraz przesłicznych róż wianek,
Tobie — „HEZANE” ŻAKA w podarku,
Bo, Jaśku — Tyś mój kochanek.

202

*Jak wszędzie, tak i w Polsce
angielska herbata Lyons'a
staje się niezastąpioną*

HERBATA LYONS'a

DO NABYCIA

we wszystkich pierwszorzędnym handlach kolonialnym

213.

ściskać mocno brzegi, aby przy gotowaniu się nie poroztwierały. Układać na przetakach, lub na tacach, przykrytych serwetami, posypanymi mąką. Powinny być małe i mieć ciasto jaknajcieńsze, są to warunki ich dobroci. Podaje się do nich dobrze ogrzane w piecyku talerze. Salaterka z pokrywą, w której je podajemy, powinna być też dobrze wygrzana.

W dużym rondlu należy zagotować wodę, dobrze ją osolić i na wrzącą wrzucić połowę kołdunów. Rondel przykryć pokrywą; gdy się parę razy zagotują i spłyną na wierzch, są gotowe. Prędko wyjmować durszlakową łyżką na gorącą salaterkę, przykryć pokrywą i natychmiast podawać. Kto chce, może posypać kołduny rumianą tartą bułeczką. Zanim pierwsza połowa zostanie zjedzona, należy ugotować drugą. Gotuje się kołduny w chwili, kiedy biesiadnicy siadają do stołu. Jest to jedna z potraw, na którą się czeka, lecz która sama czekać nie powinna.

WĄTRÓBKİ GĘSIE Z RYŻEM

Dwie białe wątróbki gęsie wymoczyć przez dobrą w zbieranem mleku, odcisnąć, naszpikować cieniucho pokrajaną słoninką i udusić w rozpuszczonym szmalcu gęsim wraz z pokrajaną w cieniucho plasty hiszpańską cebulą. Dusić krótko, aby wątróbki wewnątrz pozostały różowe. Piętnaście deka ryżu suchego wsypać w rondel na rozpuszczone masło z drobno pokrajaną cebulą (6 deka masła i jedna duża cebula). Smażyć, mieszając, aż ryż zlekką żółknie; wtedy podlać osoloną wodą (trzy szklanki wody), wymieszać i wstawić w piec w zakrytym rondlu, aby się ryż upiekł — powinien być bardzo sypki. Półmisek metalowy wysmarować masłem, kłaść na nim rzędami ryż i pokrajane w cienkie plasty wątróbki. Polać wszystko obficie szmalcem, w którym się dusiły wątróbki, posypać tartą bułeczką, ostrym serem i wstawić na pięć minut w dobrze gorący piec, aby się ser z bułeczką rozpuścił i uformował smakowitą skorupkę. Podawać bardzo gorące.

KUROPATWY NA GRZANKACH

Kuropatwy oczyszczone wymoczyć przez noc w zbieranem, słodkim mleku; upiec owinięte plasterkami słoninki lub na maśle — nie przesuszyć za nadto, gdyż przepieczone stają się włókniste i smak tracą. Ukrajać grube na półtora centymetra grzanki z bułki, nadać im kształt owalny. Zrumienić z obu stron w obfitym smalcu lub maśle. Zwykły pasztet ze zwierzyny lub wątróbki pokrajać w plastry półcentymetrowe (w braku pasztetu można go zastąpić bardzo dobrą pasztetową kielbasą „leberką“). Każdą grzankę przykryć plastrem pasztetu, na to położyć połówkę kuropatwy, wstawić razem na parę minut do pieca, aby się dobrze rozgrzało, i podawać z kompotem lub borówkami.

RYDZE W OLIWIE

Do szerokiego słoika nalać na trzy palce oliwy. Małe, zdrowe rydzyki oczyścić szmatką na sucho i układać je w tym słoiku, jak rosną, soląc lekko każdy rydz. Gdy słoik pełny, przycisnąć mocno deseczką i kamykiem, aż oliwa na wierzch wyjdzie. Gdy rydze osiadą, dołożyć świeżych, zawsze każdy rząd soląc. Oliwy powinno zawsze być na palec przynajmniej nad rydzami, gdyby było mniej, należy jej dolać. Zawiązać pęcherzem lub szklanym papierem — ostatni sposób jest lepszy, bo zawsze widzimy, czy się pleśń na wierzchu konserwy nie pojawi. Trzymać w suchem, chłodnym miejscu. Używa się takie rydze do przekąski. Są szczególnie cenne dla osób, którym wszelkie konserwy octowe są wzbronione.

ZIELONE POMIDORY — SOLONE

Duże, zupełnie jeszcze zielone i twarde, lecz nie uszkodzone mrozem pomidory można nasolić lub zakwasić, jak ogórki. Robiąc je w większej ilości,

należy wziąć liści wiśniowych, z czarnych porzeczek i kopru (wobec spóźnionej pory, można użyć wszystkich tych przypraw ususzonych latem, w przewidywaniu ich potrzeby późną jesienią). Do mniejszej ilości wystarczy spora ilość lodyg kopru. W barylce lub garnku kamiennym układać rzędami pomidory i koper, kładąc gdzieś po kawałku oskrobanego korzonka chrzanu. Kto lubi, może też włożyć kilka ząbków czosnku. Gdy się wszystko ułoży, zalać osoloną gotowaną i ostudzoną wodą, aby objęło, przycisnąć denkiem i kamykiem. Ocierać starannie pleśń z denka i uważać, aby płyn dobrze pokrywał owoce. Po paru tygodniach są już dobre do użycia. Używa się ich, jak ogórków, do pieczenia i sztuki mięsa. Są wyborne w smaku, i — o ile były nieuszkodzone mrozem — bardzo trwałe. Nawet w zwykłym garnku kamiennym można je przetrzymać do Nowego Roku.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani C. Z. — Pomorze. — Mydła marsylskiego dostanie Sz. Pani w każdym porządnym składzie aptecznym; rękawiczki gumowe można kupić w sklepie z przyborami opatrunkowymi Jodłowskiego (Marszałkowska 87, w Warszawie). O batyst niech Sz. Pani zwróci się do firmy E. Heurich (Marszałkowska 114, w Warszawie). Podszewkę trzeba odpruć w dole rękawa, wsunąć między nią a materiał czysty kawałek płótna i wycierać zbrudzoną część eterem. — Dobrze wychowany mężczyzna ustępuje pierwszeństwa kobiecie, tak na schodach, jak i przy wsiadaniu do wagonu lub auta; uchybienie tej uprzejmości nie jest jednak dziś tak karygodne, jak dawniej, zwłaszcza, jeżeli kobieta jest młoda i zdrowa. — Aby odpowiedzieć na wyrazy: „witam, moje uszanowanie“, trzeba użyć odpowiedniego zwrotu, przystosowując go do czasu i okoliczności, a więc: dzień dobry, dobry wieczór, albo do widzenia, dobranoc i t. p.

Komplety haftów artystycznych oraz tkactwa ręcznego bez warsztatu

prowadzone przez stałą współpracowniczkę
działu robót w „Bluszczu“.

Informacje telefoniczne:

do g. 9^{1/2} rano i od 3-ej do 5-ej pp. tel. 273-34.

Skończy się codzienna troska dysponowania obiadów dla każdej z pań, która nabędzie książkę p. t.

„DYSPOZYCJE ŚNIADAŃ, OBIADÓW I KOLACYJ“

Książka ta ułatwia prowadzenie domu, podając racjonalnie zestawione menu na wszystkie pory roku.

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką poczt. 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 9, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O. T-wa Wyd „Bluszcz“ Nr. 13555

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Do Czytelniczek.

Czy wiecie, Szanowne Czytelniczki, że my, kobiety, jesteśmy bardzo poważnym czynnikiem w gospodarstwie krajowym? Nasza zdolność nabywcza wyraża się w wielkich cyfrach, gdyż kobieta to przeważnie kupuje wszystko, nie tylko dla potrzeb własnych, lecz dzieci, całego domu, a często i męża. Statystyka amerykańska wykazała świeżo, że kobiety w Ameryce kupują za *miljard dolarów tygodniowo*, a więc około 166 milionów dziennie i 21 milionów na godzinę!

Wielkie dzienniki angielskie stanęły bardzo szybko po stronie równouprawnienia, przekonano się bowiem, że wszystkie firmy zapytywały, przy dawaniu ogłoszeń, czy pismo posiada dużo kobiet - prenumeratorek. Praktyczne anglosaksonki rozumieją też doskonale, zarówno wartość swych zdolności nabywczych, jak i potrzebę racjonalnego pokierowania nimi. Angielka i amerykanka czyta pilnie reklamy, a pismo które, nie daje potrzebnych jej ogłoszeń, nie zyska nigdy jej aprobaty. Stara się ona również o wtajemniczenie się w sprawy handlu i produkcji i jest w kontakcie ze swymi dostawcami, informowana przez nich o stanie rynku w różnych gałęziach produkcji, informując ze swej strony o brakach tejże w żądaniach nabywców.

Czas najwyższy, aby i kobieta polska ujęła planowo te sprawy. Z drobnych pozornie wydatków jednej rodziny składa się całokształt bilansu handlowego całego państwa. Racjonalna więc organizacja wszystkich naszych zakupów przyczynia się nie tylko do higieny, dobrobytu i kultury naszego domowego ogniska, ale i do rozwoju gospodarczego całego kraju.

Sprawa ta, z racji trwającej obecnie ciężkiej sytuacji gospodarczej, zmuszającej nas do doskonałej organizacji naszych wydatków osobistych, jak również z powodu naszego ujemnego bilansu handlowego i rozwijającej się propagandy samowystarczalności — jest dla nas podwójnie ważna i aktualna.

W imię tych potrzeb, zwracamy się więc do Sz. Czytelniczek z wezwaniem o wzięcie tej sprawy pod rozwagę i poinformowanie ogółu, jak kobiety nasze je traktują. Czy i co robi się już w tym kierunku i co by zrobić należało. „Nasza Mównica“, która przez rok swego istnienia zdobyła sobie zaufanie czytelniczek i w której poruszone jest wiele naszych zagadnień społecznych i rodzinnych, stać się może również terenem tak ważnych dla bytu rodziny i całego kraju zagadnień gospodarczych.

Przed rozpoczęciem szerszej naszej akcji zrze-

szenia kobiet polskich w tym kierunku, prosimy Sz. Czytelniczki o nadsyłanie odpowiedzi na podane poniżej zapytania, jak również o podawanie własnych dezyderatów i projektów.

1) Czy załatwia Pani osobiście wszystkie zakupy: produkty spożywcze, bieliznę, ubranie, obuwie, meble, książki, przedmioty zbytkowne? Czy też część tych sprawunków robi mąż, ewentualnie służąca?

2) Czy kupuje Pani u stałych dostawców, czy też przygodnie, po drodze, oglądając wystawę, za poradą znajomych, czy z ogłoszenia?

3) Czy widzi Pani znaczniejszą różnicę między towarami i wyrobami zagranicznymi i w jakich przedmiotach?

4) Czy w miejscu swego zamieszkania zauważyła Pani brak towarów i przedmiotów codziennego użytku, znajdujących się w innych, podobnych miejscowościach kraju?

5) Czy stara się Pani o wyjaśnienie przyczyny różnych braków i wad zakupionych, lub traktowanych o kupno towarów i przedmiotów, ewentualnie czy zgłasza Pani swoje żądania w tym zakresie?

6) Jakie spostrzeżenia poczyniła Pani w sprawie dokładności wagi, solidnego i estetycznego opakowania, odsyłania przedmiotów do domu, traktowania klientów udzielania kredytu i t. p. ułatwień?

7) Czy przed załatwieniem ważniejszych sprawunków czyta Pani ogłoszenia w pismach i kieruje się nimi i z jakim rezultatem?

8) Jakie ogłoszenia chciałaby Pani widzieć w „Bluszczu“?

9) Po jakie zakupy przyjeżdża Pani do stolicy, ewentualnie wielkich miast polskich?

10) Uwagi specjalne.

W odpowiedziach prosimy podawać jedynie numery pytań.

Redakcja.

Jak pracuje Ochrona Kobiet w Łodzi.

W centrum Łodzi, w ruchliwym punkcie, wisi szyld, oznajmiający, że tu jest siedziba „Towarzystwa Ochrony Kobiet“.

— Stara, poważna, przedwojenna robota — myślałam, i nieraz przechodząc, miałam uczucie, że tu jest źródło wielkich społecznych poczynąń, zapobiegania złu, siostrzana misja: kobiet dla kobiet.

Pewnego dnia wybrałam się, aby dowiedzieć się, jak ta praca bliżej wygląda.

— Chcę się zobaczyć z prezeską (no, bo o ile jest „Towarzystwo“...).

— Niema — (wogóle niema).

Zaczynam więc redukować wymagania.

— Może sekretarkę zastałam?

Mocno zdziwiona moją nieświadomością kobiecina powiada:

— Niema.

Coś ciekawego...

— Może ktoś z zarządu?..

— Tu niema żadnego zarządu.

— A jakaś kierowniczką?

— Owszem, jest tu p. Sławińska.

Przedstawiam się sympatycznej, siwowłosej pani, zajętej bardzo, więc czuję się nieco, jak intruz.

Ostatecznie dowiaduję się, że cała pseudo ochrona kobiet spoczywa na jej barkach, a z „Towarzystwa Ochrony Kobiet“ — pozostał właściwie sztyl.

Temi szczątkowymi walorami moralnymi i materialnymi, w postaci maszyn do szycia i lokalu, obraca, orząc od rana do nocy, starsza pani, pełna energii i pomysłów (....,gdyby tak, proszę pani, kawałek ziemi pod miastem, założylibyśmy hodowlę kur...“), byle tylko przetrwać, związać koniec z końcem; niby się kontynuuje myśl wielką, ale siłą rzeczy, z braku zarządu, zrobiło się mocno męczące, a trzymające, jak w kleszczach, małe, prywatne podwórko.

Kilka maszyn do szycia stoi — niezawsze czynnych. Sklepik spożywczy nader skromny, no, bo trzeba by znowu kogoś chętnego, a uzdolnionego, kto by poprowadził ale kto na tej placówce zabezpieczyć byt, kto jest odpowiedzialny za całość i przed kim?

Komu może dać ochronę nieistniejące „Towarzystwo“.

Są sekcje: misje dworcowe, pośrednictwo służby domowej, opieka nad moralnie zaniedbanymi dziećmi i hotelik.

Misje dworcowe są czynne (o nich powiem osobno); pośrednictwo służby domowej przejęła Narodowa organizacja kobiet N. O. K.; moralnie zaniedbane dzieci zostały wzięte pod opiekę przez Siostry - pasterki (te otrzymują skromne subsydlum z magistratu), a hotelik... no, hotelik, tak jak i szwalnia, siłą zapoczątkowania, dobrą wolą jednostki — idzie.

Że taki hotelik jest konieczny, dowodzi fakt, iż ma zawsze lokatorki (obecnie około 30-tu), rekrutujące się z pozostających chwilowo bez dachu nad głową.

Utrzymuje się sam, przy bohaterskich wysiłkach p. Sikorskiej, która, będąc jednocześnie urzędniczką w magistracie (bo z czegożby żyła?), pracuje sobie lekko od 6-tej rano do 12-tej w nocy, z małymi nocnymi przerwami, gdy ktoś potrzebuje schronienia w tej „Ochronie Kobiet“.

Trzy duże pokoje, z wieloma łózkami — ani wodociągu, ani zlewów, ani kuchni, ani wygod (elektryczność zaprowadziła p. S.): żadnej oddzielnej ubikacji dla przypadkowej chorej. O tem, aby rozszerzyć opiekę nad bezdomną matką z dzieckiem, niema mowy. I pomyśleć, że obok takich niezwykłych wysiłków uspołecznionych jednostek przechodzą tłumy

rozbawionych, ukarminowanych dam w fokach, karakulach i jedwabiacach!

I nie znajdzie się jedna gorętsza dusza, rozporządzająca inteligencją i czasem, dla zorganizowania „Towarzystwa“ i stworzenia odpowiednich warunków dla rozwoju tak bardzo koniecznej Ochrony Kobiet.

Łodzianka.

Jeszcze w sprawie wyższych studjów kobiecych (w odpowiedzi p. Irenie Erdmanównie).

Dziwna, doprawdy, rzecz, jaką siłę stanowi atawizm i jak niektórzy osobniki nie mogą, wbrew własnym, najoczywistszym interesom, wyzwolić się od uprzedzeń i zastrzeżeń ubiegłych czasów.

Przyszła mi na myśl ta uwaga przy czytaniu polemiki p. Erdmanówny z p. Jastrzębską o wyższe studja kobiece.

Nie mam tu bynajmniej zamiaru występowania w obronie p. J. Wypowiada ona myśli i opinie, od dawna już uznane, powszechne i logiczne: kobieta musi mieć równe i niczem nieograniczone prawo do wyższej uczelni i należy jaknajwiększą ilość kobiet do wyższych studjów zachęcać. Przeciwno temu podstawowemu aksjomatowi występuje p. Erdmanówna, twierdząc, że znaczna ilość studentek „chodzą“ tylko na uniwersytet, lecz nie studjuje.

A co robią mężczyźni, Sz. Pani? Ile, od czasów średniowiecza poczynszy, przekazała nam historia anegdot o żakach i studentach, którzy świat napelniali swymi awanturami? A klasyczne już powiedzenie bursza niemieckiego, który między jedną a drugą mensurą twierdzi: „no, trzeba iść na chwilę zobaczyć, jak w uniwersytecie wygląda“! A nasi korporanci? To wszystko są móle książkowe, które nie „chodzą“ na uniwersytet, tylko poważnie studjują, tak? I czy kiedykolwiek powstało, mimo to, przeciwko nim zastrzeżenie? Jakakolwiek próba ograniczenia studjów młodzieży męskiej?

Nie, zaiste — nigdy tego nie było i nikomu nawet myśl podobna nie przyszlaby do głowy. Ale że wtedy, gdy kobiety zaczynały walczyć o dostęp do wyższych uczelni czyniły to wybitnie zdolne jednostki i żądały tego wstępu w imię swych zdolności, więc pokutuje dotychczas stara tradycja — no, jeśli kobieta jest taka nadzwyczajnie zdolna i pilna, to wreszcie, łaskawie pozwalamy, niech sobie studjuje! — I p. Erdmanówna idzie w myśl tej tradycji.

Jeżeli jednak uznamy, że wyższe uczelnie mogą być dostępne tylko dla wybitnych zdolności (a byłoby to jednak poważnem ograniczeniem prawa wolności wiedzy), to bezwzględnie musimy wtedy wprowadzić ograniczenie dla obu płci. Nie, Sz. Pani! nie tylko studentki „chodzą“ na uniwersytet, są, i tak samo liczne, szeregi studentów, tępaków, niedbalec i leniwców, tak samo rzucających po roku lub dwóch rozpoczęte studja. Ach, prawda! idzie o ciasnotę na wykładach i w seminarjach — mężczyźni, traktujący niedbale studja, zwykle opuszczają je, nie „chodzą“ i nie robią tłoku, w imię tego są rozgrzeszeni.

Ale to nie jest żadna racja. Jeżeli przybytki wiedzy są zaszczerpie, to trzeba je rozszerzyć — jedyna rada. Jeżeli nie możemy tego zrobić od razu, to zniesmy trochę ciasnoty, ale dostępu do wyższych studjów nie należy wogóle, w zasadzie, zamykać nikomu, to już jest i musi być prawem współczesnej kultury, i nie wolno również ograniczać tego wstępu dziewczętom, z racji jakichś wad, którym równomierne conajmniej posiadają i mężczyźni.

P. Erdmanówna twierdzi, że nie jest przeciwniczką wyższego wykształcenia kobiet, lecz pragnie widzieć na wyższych uczelniach „jedynie takie, które rzeczywiście pracują”. Otóż tu właśnie jest błąd. Albo do studjów na wyższych uczelniach dopuszczeni być winni tylko ludzie — a więc zarówno kobiety, jak i mężczyźni — którzy istotnie pracują, albo też wstęp do nich musi być, tak, jak jest obecnie, wolny dla wszystkich, a życie samo najlepiej przeprowadzi selekcję.

Że zaś kobiety są zapóźnione przez wiekowe ograniczenia i że naogół jednak mniej jeszcze garną się do wyższych studjów od mężczyzn, więc należy wszystkie te, które mają odpowiednie zdolności, do studjów tych zachęcać.

Studentka.

Kiedy kobieta może pracować.

Od dłuższego czasu trwa w „Mównicy” polemika na temat, czy żona powinna pracować?

Dochodzimy do wniosku, że bezdzietna może, matka zaś, w wypadkach, gdy ma kogoś z rodziny, np. ciotkę lub matkę, któraby ją mogła choć w części w domu zastąpić.

Wywody słuszne. Myślę jednak, że i kobieta-matka mogłaby zarabiać, gdyby praca jej była należycie wynagradzana. Przeważnie urzędnik zarabia od 300—500 zł.; jeżeli do tego żona 150—200 zł., to naturalnie, że w tych warunkach nie można wziąć dobrej służącej i wychowawczyni.

Sytuacja zupełnie się zmieni, gdy małżeństwo zarabia razem dajmy na to, 1000 zł.

Wtedy pani domu bierze dobrą służącą, która umie kupić wszystko, co potrzeba, może dzieci zaprowadzić i przyprowadzić zpowrotem z przedszkola, a wieczorem umyć i położyć spać. Pani po przyjściu z biura zjada obiad między godz. 4—5, poczem kładzie się spać na dwie godziny i o siódmej jest świeża i wypoczęta. Może dwie godziny poświęcić dzieciom.

O dziewiątej wszystko śpi i wtedy może wyjść, grać, czytać i t. p.

Jeśli zaś kobieta-matka zarabia mało, lepiej robi, gdy sama zajmie się gospodarstwem, a mąż weźmie jeszcze dodatkową pracę.

Pewnie, że nie każda dobrze się będzie czuła, zajmując się wyłącznie domem i dziećmi, ale w tych wypadkach nie stać na sentyment, życie trzeba brać z ołówkiem w rękę.

I jeszcze jedno: nie powinny kobiety dać się tak wyzyskiwać; niechaj zrzeszają się, z pretensjami występują gremjalnie, nie dają się spychać, bo

do tej pory słyszymy tylko o naszej pracy pochwały słowne, niech one będą lepiej w brzęczącej monocie.

Z. J. z Bystrej.

Jesień.

Typowa, cudna polska jesień swoje uroki wokół roztacza. Czerwień, złoto i zieleń, wyjaskrawione żywo słońcem, barwny obrazek tworzą dla oka.

W przeciwstawieniu do wiosny, jakże inaczej! A jednak, jak miły jest ten okres na wsi!

Wiosna żywiołowo porywa w wir życia, wzbudza pragnienie szczęścia, radości, nadzieją tchnie, żywym tętnem bije i dąży do rozkoszy. Wiosna uciechą darzy każdy atom najdrobniejszy.

Jesień... jakoby zadumę wprowadza, nasuwa refleksje, zagadnienia. Są ludzie, którzy kochają jesień, czując w jej powadze i smutku część swą duszy.

Nasuwać się wspomnienia, a poszum opadających liści z żalem szemrze, że chwila miniona już nigdy nie wraca.

Potem jednak przychodzą inne myśli; bogate plony jesieni, owoce pracy natury przypominają nam wagę plonów, pracą zebranych. To też po wypoczynku letnim, wzmocnione słońcem, stanimy z nową odwagą i siłą do pracy dla dobra swego i pożytku drugich.

W tej pracy pamiętać przedewszystkiem musimy o jej dobrej organizacji. Ciągłe mówimy o reformie gospodarstwa domowego, a tak nic nie robi się w tym kierunku.

Wracając obecnie do warsztatu domowego z nowymi siłami, postaramy się wprowadzić doń na początek choćby jedno jakieś ulepszenie, jeśli nie możemy poprawić go całkowicie. Jakies nowe naczynie, czy piecyk gazowy, jakiś racjonalniejszy plan dnia, dobra książka rachunkowa — na to każdy może się zdobyć, a jakże wiele czasu oszczędzimy przez pozornie drobną nieraz zmianę!

Ten zaoszczędzony czas pozwoli nam wziąć udział żywszy i czynniejszy w sprawach ogólnych. Zainteresujemy się zagadnieniami gospodarczymi, pomyslny o propagowaniu, każdy w swoim kółku, zasad higieny, tak strasznie zaniedbanej w naszych wsiach i miasteczkach, o opiece nad matką opuszczoną i jej niemowlęciem, o czytelnictwie i całym kompleksie zagadnień kulturalnych i społecznych, w których praca każdej jednostki jest ważną i celową.

Marja z nad Warty.

Prośba do Szanownych Czytelniczek.

Ośmielona tem, że w „Naszej Mównicy” poruszane są i sprawy osobiste, pozwalam sobie zwrócić się do Szanownych Czytelniczek z prośbą, ażeby były łaskawe dopomóc mi umieścić się w zakładzie św. Franciszka Salezego na Solcu. Znam ten tylko zakład, jako przeznaczony dla odpoczynku pracującej inteligencji, a już zgórą 40 lat pracując, czuję, że nadal pracować nie mogę. Jestem samotna i z małą emeryturą, więc o prywatnem mieszkaniu nie mogę myśleć. Licząc na dobre serca Szanownych Czytelniczek, spodziewam się, że zechcą mnie poratować dobrą radą. Bardzo proszę łaskawe odpowiedzi skierować pod adresem: Warszawa, Główny Urząd Pocztowy. Post restante dla Emka.